

ODDRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 18 sierpnia 1946 r.

Nr 27 (38)

Jan Kasprowicz

»Nadodrzańskie dzielnice dziedziny nasze«

W dniu 1 sierpnia minęła dwudziesta rocznica śmierci Jana Kasprowicza, którego z dużą racją można nazwać poetą Ziemi Zachodnich. Kasprowicz — jeden z największych duchów w dziejach kultury polskiej — powiązany był z Ziemią Zachodnią życiem i twórczością. Kiedy o nim przed laty pisał Przybyszewski, że „Kasprowicz to ostatni z Piastowiczów, z najczystszej krwi książęcej“ i tłumaczył „że tylko wtedy na kujawskiej ziemi, u stóp Mysiej Wieży reinkarnować się musiał...“, to zawarł w tym poetyckim stwierdzeniu jądro prawdy. Kasprowicz jak wielki współczesny Piast dbał o swe ojczyste dziedziny. Tak się składało, że urodzony na Kujawach brał czynny udział w tajnych młodzieżowych związkach w Poznaniu, że wrósł w Śląsk przez Racibórz i Opole, gdzie uczęszczał do gimnazjum, że żył się z Wrocławiem, gdzie zawarł związek małżeński, że ze Śląska pisywał bystre i gorące korespondencje jako Piotr Huta do petersburskiego „Kraju“, że siedział pół roku w pruskim więzieniu, że jeździł po Warmii, Mazurach i Pomorzu z propagandą za Polską. Znamienne są też pierwiastki tego typu twórczego, jaki reprezentował Kasprowicz, pierwiastki można by rzec zachodnie: głębia filozoficzna obok nurtów socjalnych, religijność i fantazja składna bez rozwirzeń (nawet w wybuchowych „Hymnach“).

Poniżej drukujemy przedmowę, jaką napisał Kasprowicz do książki Kazimierza Ligońa „Poeci Górnego Śląska“, wydanej w roku 1920; dalej dwa wiersze, wyjęte z „Księgi Ubogich“.

Niepozorna książeczka, a przecież tak wiele mówiąca. Mimo rozdziałów z nazwiskami pisarzy na czele, opowiada nam nietyle dzieje piśmiennictwa górnośląskiego, ile raczej dzieje wspaniałego cudu, jaki od stosunkowo nielicznych lat dziesiątek spełniał się i spełnia w prastarej dzielnicy piastowskiej — dzieje odrodzenia narodowego.

Oderwane przed sześciu wiekami od macierzy, od Polski (początek jej upadku), dzielnice nadodrzańskie, dziedziny nasze, wystawione na najsroższy ucisk germanizacyjny, umiały one jednak w przeważającej masie ludności swej, zachować najgłówniejszy pierwiastek narodowościowy, umiały utrzymać skarb swój najdroższy, język ojczysty.

Wyrzucano go ze szkoły, usiłowano, acz z niewielkim skutkiem, wypędzić go z kościoła, zabraniano mówić nim po urzędach, po fabrykach i kopalniach, choć był tych fabryk i kopalń od polskiego zależny był robotnika, od odwiecznych mieszkańców Śląska, którzy znoją, ha-

niebnie wyzyskiwaną pracą swoją zmuszeni byli pomnażać dobytek cudzych panów, nie różniących się w niczym, acz należeli do „narodu filozofów“, kierującego się „bojaźnią bożą“, od pospolitych, złotem i brylantami świecących rabusiów i złodziei.

Nie gardzono żadnymi drogami, uciekano się, poza gwałtem i przemocą, do środków najhanebniejszych, do popierania i wyróżniania odstępców i zaprzańców, aby materialne powodzenie ich było zachętą dla ludzi słabszych, ludzi, pozbawionych twardej podstawy moralnej, podkopywanej z niesłychanym w dziejach cynizmem. Zobojeźniał niejeden — rzecz zwykła, — odpadł niejeden; jak mieliśmy tego dowody, niejeden przeszedł wprost do obozu wrogów i wrogom tym pomagał w deprawowaniu duszy własnych rodaków.

Ale mimo tych wszystkich wysiłków, osłanianych częstokroć powagą wychowawców i nauczycieli tej duszy, na dzień tkwiły pierwiastki potężniejsze od podłej chęci, piekielnych zamiarów i wstępnego urzeczywistnienia ich przez zaciętego, niespoczywającego nigdy nieprzyjaciela.

I pierwiastki te zaczęły się objawiać samorzutnie w piśmiennictwie ludowym wogóle, a w poezji w szczególności, w poezji tworzonej przez dzieci ludu, wytryskającej z źródła, jakim zawsze była i zawsze będzie — po wieki — nieśmiertelna, zawsze czujna, zawsze skrzętna dusza tego ludu.

Niejeden z tych twórców ukończył za ledwie szkołę elementarną i to niemiecką, niejeden dopełniał wykształcenia swego w seminarium duchownym wrocławskim, w którym starano się go wszelkimi sposobami usuwać z pod wpływów polskich dla dobra — o zgrozo! — religii, a przecież te wszystkie nazwiska, od których roi się nasza książeczka, znamienitym są dowodem, jakie bogactwa piastowskie „Śląsko nasze“ posiada nietylko w wnętrzu swej ziemi, ale i w głębinach tej prostej, szczerzej duszy jej mieszkańców prastarych.

Dusza ta, bywało, tała właściwą swą istotą przed oczami wroga, aby nie stracić odrazu możliwości wydatnej pracy nad swymi braćmi.

W gimnazjum w Raciborzu, dokąd między innymi, zagnał mnie własny mój niepokój, siadywał na jednej ławce ze mną młody człowiek, syn chłopca górnośląskiego, który żadną miarą nie chciał mówić ze mną po polsku, a który później, jako ksiądz, stał się — jak słyszę — jednym z najgorliwszych krzewicieli myśli i uczuć polskich. Wiedział wówczas, co czyni — wszakże mnie samemu kazano, wśród okoliczności dramatycznych opuścić gimnazjum i opolskie i raciborskie, ponieważ z kolegami górnośląskimi także

dziećmi ludu polskiego, ośmielałem się — mimo zakazu — w ojczystym rozmawiać języku.

A jaki urok wywierała na Górnoszlązków poezja nasza, niech poświadczy wspomnienie, jakie wyniosłem z Opola. Dla przykładu i zachęty zapisałem się na nadobowiązkową naukę języka polskiego, choć jako Poznańczykowi, wychowywanemu poprzednio, aż do klasy ostatniej, w gimnazjach wielkopolskich, nauka ta nie całkiem już wystarczała. I oto do dziś dnia mam przed sobą jeden z najbardziej rozczulających i największą otuchę wlewających obrazów: uchodzący ogólnie za Niemca, w każdym razie, jak mi mówiono, do polskości nie przyznający się publicznie nauczyciel naszego języka, ksiądz Cytronowski, czytając z katedry „Mohorta“, tak się rozrzewniał, że łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach.

Rzewność, nietylko wobec rodzinnej dzielnicy śląskiej, ale wobec czarodziejskiego imienia Polski jest też zasadniczą cechą tej prostej, kwiatów literackich pozabawionej poezji, która wsiąkała i wsiąkała w duszę ludu górnośląskiego, duszę tę krzepi i podtrzymuje i do wspaniałego prowadzi ją zwycięstwa.

I tak należy patrzeć na pieśń tę, której kilka za ledwie urywków przytoczył nam w przeglądzie swym p. Kazimierz Ligoń, a która, o ile ją znam, a nasłuchałem się jej dosyć, jako ongi kolega i towarzyszy niejednego z dzisiejszych narodowych działaczy śląskich, wielkie, niezawsze szlifowane posiada klejnoty, pieśń do kamiennego, tajemniczym, czarnym, a tak pożytecznym blaskiem połyskującego węgla, który wydobywany rękami wolnego już ludu polskiego, stanie się jednym z najgłówniejszych źródeł dobrobytu całej, nierozdzielnej już Polski.

Perspektywa Odry

Rozpoczęła się konferencja pokojowa. Polska bierze w niej udział jako państwo, opierające swe granice o Odrę, Nysę i Bałtyk. Spodziewamy się, że fakt ten nie będzie bez znaczenia w późniejszej dyskusji nad przyszłymi granicami państw Europy. Polska swoją granicę zachodnią otrzymała nie w wyniku jakiegoś imperialistycznego zrywu całego narodu, lecz w porozumieniu z czterema sojuszniczymi mocarstwami, które wygrały wojnę. I ten fakt zapamiętać trzeba — nie tylko dla upewnienia się, że postąpiliśmy w zgodzie z sumieniem świata, lecz również i po to, by mocniej popracować nad repolonizacją tych ziem. Pewność niesie spokój, tak potrzebny pracy.

Być może, że Polska stoczy na konferencji pokojowej i w późniejszych rozmowach niejedną batalię o siebie i o innych. Przypominamy tutaj o konieczności stoczenia jeszcze jednej bitwy, bitwy o Łużyczan.

Kiedy w r. 1919 wracali z Paryża smutni przedstawiciele Łużyc, Arnoszt Bart i prof. Jan Bryl, nie wysłuchani przez możnych ówczesnego świata, zdani raz jeszcze na łaskę i niefaskę Niemców, — na granicy Niemiec czekał na nich zwarty łańcuch policji. Aresztowani zostali jako zdrajcy Niemiec i jako podżegacze do nowej wojny światowej. Skazani zostali na długie lata twierdzy. Nikt się o nich w świecie nie upomniał, na próżno protestowała sama tylko Czechosłowacja. W r. 1937 Hitler zadał ostatni najcięższy cios życiu narodowemu Łużyczan. Od tego czasu praca narodowa, prowadzona już tylko przez nielicznych pozostałych przy życiu, zesłała w mroki konspiracji.

I znów Niemcy przegrały wojnę. I znów utartym szlakiem wyjechali do Paryża przedstawiciele Łużyc. I znowu świat nie chce słyszeć o Łużycach. I znów czeka być może na granicy patrol policji niemieckiej, tej samej która na przestrzeni ostatniego miesiąca zabiła ponad stu Żydów w rozmaitych punktach Niemiec — pod pozorem uśmierzenia niepokojów przeciw porządkowi publicznemu. Dlaczego zagranica milczy, gdy niemieccy policjanci tępią jak dawniej życie narodowe Łużyczan?

W sprawie wolności Łużyczan głos Polski na konferencji pokojowej musi się odezwać donośnie i twardo.



Fragment Wrocławia.

Jan Kasproicz

Z »Księgi Ubogich«

XXXVII.

Padłeś z daleka od swoich,
Za cudzą walczący sprawę —
Wroga zagnała cię przemoc,
Złośliwe losy krwawe.

Ty dziecko polskiego ludu,
Krainy w nieszczęścia żyznej,
Pamiętam serce twe młode,
Wezbrane dolą ojczyzny.

Pamiętam ongi twe listy,
Te proste, niewprawne słowa,
Którymi ze zgrozą przemawia
Ta nasza skarga wiekowa.

Wróg was zamyka w koszarach,
Serce mundurem wam ścisła,
Aby w nim stłumić tęsknotę
Do rodzinnego ogniska.

Język wydziera wam z gardła,
Bez miłosierdzia oniemia,
Byście się ozwać nie mogli,
Gdy własna zawoła ziemia

Majaki wam stawia przed oczy,
Obrazy kłamliwej siły,
Abyście praw się zaparli
Do dni, coby chwałą świecili.

Byście, wróciwszy do domu,
Potęgą wroga olśnieni,
Własnych zaparli się przodków,
O pomstę krzyczących cieni.

Byście te przyszłe szeregi,
Co z waszej krwi powstać maj.,
Zaprzęczyli łączyli węzłem
Z nieprzyjacielską zgrają.

Byście bez żalu je wiedli,
Butę mający na przedzie,
Do walki o przyszłość nie swoją,
Jak on was dzisiaj wiedzie...

Zali już nie ma na świecie
Karzącej Sprawiedliwości,
Że tak haniebnie kłaść musim
Do grobu strudzone kości?

Nie! Nie! Ja przecież mam w głębi
Resztę — czy złudnej otuchy? —
Że miecz, jeśli fałszem hartowan,
Lomliwy się staje, kruchy.

Padłeś z daleka od swoich,
Ty synu polskiej Macierzy,
Dziecko tej krwi, co daremnie
Rozlewa się coraz szerzej.

Moc poświęciwszy młodzieńczą,
W zamkowym spoczął ogrodzie,
Nad straszną podobność rzeką
O mętnej, czerwonej wodzie.

Jeśli nie zmiotły granaty
Już ostatniego w nim drzewa,
Niechże ci ogród ten glucho
O twej zagrodzie śpiewa.

O twoim domu ubogim
Niechże ci szumi ta rzeka,
Jeśli w niej krew nie stężała,
Co dawno na kres swój czeka.

XL.

Kto krzyczy, iż żyje dla Niej.
Jak poklask zdobywa i rentę,
Ten się urządza najtaniej,
Widziałem, jak między ludźmi

Kto ją najgłośniejszypowie,
Licytujący się wzajem,
Gromadzą kupezykowie,
Widziałem, jak się na rynkach

Najdroższy wyraz: Ojczyzna.
Jawi się krwią przepojony,
Niech dziś to wargę ma wyzna —
Rzadko na moich wargach —

Widziałem, jak do Jej kolan —
Wstręt dotąd serce me czuje —
Z pokłonem się cisną i radą
Najpospolitsi sużuje.

Widziałem rozliczne tłumy
Z pustą, leniwą duszą,
Jak dźwiękiem orkiestry świątecznej
Resztki sumienia głuszają.

Sztandary i proporcezki,
Przemowy i procesyje,
Oto jest treść Majestatu,
Który w niewielu żyje.

Więc się nie dziwcie — ktoś może
Choć milczkiem słusność mi przyzna —
Że na mych wargach tak rzadko
Jawi się wyraz: Ojczyzna.

Lecz brat mój najbliższy i siostra,
W tak czarnych żałobach ninie,
Ci wiedzą, że chowam tę świętość
W najgłębszej serca głębinie.

Ta siostra najbliższa i brat ten,
Wybrani z pomiędzy rzeszy,
Ci znają drogi, którymi
Moja Wybrana spieszy.

Krwawnikiem zarosłe ich brzegi,
Łopianem i podbiałami:
Spieszę z Nią razem, topole
Słą swe westchnienia za nami.

Przystajem na cichych mogiłach,
Słuchamy, azali z ich wnętrza
Jakiś się głos nie odezwie,
Jakaś nadzieja najświeższa.

Zboża się złocą dojrzale,
A tam już widzimy żniwiarzy,
Ta dłoń swą na czolo mi kładzie
I razem o sprzętach marzy.

A potem, podniósłszy głowę,
Do dalszej wstając podróży,
Woła: „Miej radość w duszy,
Bo tylko radość nie nuży.

Podporą ci będzie i brzaskiem
Ta ziemia, tak bujna, tak żyzna,
Nią-ci Ja jestem, na zawsze
Twa ukochana Ojczyzna“.

Jakiś złośliwy złoczyńca,
Pszeniczne podpala stogi,
U bram się wiję niebieskich
W rozpacz człowieka ubogi.

Jakaś mordercza zaraza
Z głodem zawiera przymierze,
Na przepelnionych cmentarzach
Krzyże się wznoszą świeże.

Jakoweś gluchoe tententy
Wskroś przeszywają powietrze,
Kłębią się gęste chmurzyska,
Czyjaż to ręka je zetrze?

Jakaś olbrzymia rzeka
Wezbrała krwią i rozlewa
W krąg purpurowe swe nurty,
Zabiera domy i drzewa.

Jakoweś idą pomruki —
Drży niepoznana puszcza,
Dęby się groźnie ozwały,
Cóż to za moc je poduszcza?

A nad tą dolą niedolą
Poranna nieci się zorza,
Na pieśń mą, Ojczyzny pełną,
Splywa promienność boża.

W mej pieśni, bogatej czy biednej —
Przyzna mi ktoś lub nie przyzna —
Żyje, tak rzadka na wargach,
Moja najdroższa Ojczyzna.

Józef Mitkowski

Tego księcia uczył Długosz...

UZASADNIENIE TYTUŁU

Zamiast poprzestać na krótkim zatyłowaniu tego artykułu „Bogusław X, Wielki“ pozwoliłem sobie podać tytuł w innej, obszerniejszej postaci. Pragnąłem w ten sposób już w samym tytule uprzystępnić, przybliżyć, bardziej swojską uczynić postać znakomitego księcia Pomorza Zachodniego. Jestem przekonany, że powiedziało to znacznie więcej przeciętnemu inteligentnemu czytelnikowi, znającemu dobrze nazwisko największego polskiego historyka, niż gołe zapisanie imienia „Bogusław X“. Gotów byłbym bowiem pójść o zakład, że imię Bogusław kojarzy się ciągle jeszcze w naszych umysłach przede wszystkim z postacią księcia Bogusława Radziwiła z „Poptopu“, a nie z książętami Pomorza Zachodniego. Nie po to wspominam o tym, aby czytelnika zawstydzić akcentowaniem jego (względnej) ignorancji. Przecież! Przeciwny wykształcony Polak — że się tak wyrażę — miał prawo nic nie wiedzieć o tym największym z książąt pomorskich, o zięciu Kazimierza Jagiellończyka i szwagrze trzech z kolei królów polskich; o władcy, który na krakowskim wychował się dworze, który za miodu stopami swymi te same zdeptał ścieżki, którymi obecnie co niedzielę podążają gromadki harcerzy, ku Puchowicom, ku Tyńcowi, Bielonom czy Mogile. Miał prawo nic nie wiedzieć o dążeniu Bogusława X do zjednoczenia Pomorza Zachodniego z Polską, skoro historycy polscy nie o Bogusławie X nie napisali, a nawet obeszli się z nim tak bardzo po macoszu, że jego życiorysu nie umieszczono w Polskim Słowniku Biograficznym. Podkreślałem z naciskiem: Notujemy fakt bezsporny powszechnego braku zainteresowania sprawami Pomorza Zachodniego przed r. 1939, nie mając najmniejszego zamiaru robić jakiegokolwiek zarzutu żadnym konkretnym organizacjom czy osobom.

CO WIEMY O ZWIĄZKACH POMORZA ZACHODNIEGO Z POLSKĄ?

Być może, że w tej chwili pojawi się na ustach czytelnika uśmiech niedowierzania: A może po prostu nie bardzo

było o czym pisać? A może to gruba przesada, że jeszcze w XV i XVI wieku związki Pomorza Zachodniego z Polską były żywe i silne? Dawniej, owszem, bardzo dawno było coś podobnego. Pamię-

tamy wszyscy dobrze: W czasach pogańskich Pomorzanie byli jednym z plemion polskich, które nabrało pewnej odrębności skutkiem sąsiedztwa morskiego. Potem Mieszko I i Bolesław Chrobry włączyli Pomorze w ramy państwa polskiego, ale ich dzieło nie było trwałe. Jeszcze później Bolesław Krzywousty powiązał Pomorze Zachodnie z Polską węzłami nie tylko politycznymi ale i kościelnymi, przeprowadził chrystianizację tego kraju. A potem przyszedł rok 1181 — Pomorze Zachodnie weszło w skład Rzeszy Niemieckiej — i na tym urwały się również nasze o nim wiadomości. Coś tam było jeszcze ze sprawą następstwa tronu, który miał pono objąć po Kazimierzu Wielkim jego wnuk a książę pomorski, lecz nie z tego nie wyszło. Ale żeby żywe i silne związki Pomorza Zachodniego z Polską istniały naprawdę jeszcze w czasach Wita Stwosza, w czasach Kopernika, i w czasach Zygmunta Starego?

Niechże więc przemówią fakty. Najpierw jednak jeszcze coś nie coś o dzieciństwie i młodości Bogusława X.

MŁODE LATA BOGUSŁAWA X.

Bogusław X jako jedyny z książąt pomorskich przeszedł do legendy ludowej. Opowiadano o nim przez długie, długie lata, że prześladowany przez złą matkę i wyrzucony z dworu i domu rodzinnego musiał się tuić po obcych ludziach i byłby pewnie zginał, gdyby nie zaopiekował się nim wierny chłop książęcy; chłop ten miał się nazywać Johannes Longinus, po niemiecku Hans Lang, po polsku Jan Długi (Długosz). Nie trudno odgadnąć, że historyczną podstawę, na której wyrosła legenda, stanowił fakt, że Bogusław istotnie wychowywał się od r. 1467 zdala od ojczyzny, bo na dworze Kazimierza Jagiellończyka, a wychowawcą jego naprawdę zwał się Jan Długosz; tylko że nie był chłopem, lecz kanonikiem krakowskim i uczonym historykiem, a fakt



„...w dobie ostatecznego zasiedlenia zlewiska Bałtyku przez szczep słowiański jedno z plemion polskich, które w wędrówce swej znalazło się nad średnią Odrą w okolicy ujścia Nysy lużyckiej i Bobru, ruszyło w górę Odry i jej dopływów, zajmując swymi rodami obszerne polany, świecające wśród puszczy nadodrzańskie. Osadnictwo to wyzyskało więc naturalne drogi symetrycznej sieci wodnej dorzecza Odry oraz bezleśny pas lössowy, ciągnący się przerwami wzdłuż Odry po lewym jej brzegu. Podobnie jak drzewko oskrzeli doprowadza do płuc powietrze, które napełnia je aż do ostatnich kończyn, tak

i system rzeczny Odry rozproszdził element osadniczy wspomnianego plemienia z czasem aż do najdalszych dogodnych dla osadnictwa zakątków Śląska. Rodowe grupy osadnicze, które zajęły oddzielne połacie kraju, rozrodziły się z czasem w odrębne plemionka, ponazywane bądźto od imion praojczyńców rodowych (Dziadoszyce, Goleżyce), bądź od nazw topograficznych (Ślężanie, Bobrzanie, Trzebowanie, Opolanie). Wszystkie te jednak plemionka, powstałe z rozrodzenia się osiadłych tam pokrewnych rodów, musiały zachować pamięć wspólnej przynależności plemiennej, jak zachowały jeden dialekt i wspólny pierwotnie niewątpliwie typ etnograficzny. Być może też, że ta wspólność pochodzenia plemion śląskich odzwierciedlała się we wspólnych kultach religijnych pogańskich, kwitnących na Górze Śląskiej, o których szerokim zasięgu prawi Thietmar w swej Kronice. Jako najpotężniejsza na całym Śląsku grupa górską, dominująca nad całą doliną Odry, zarazem silny już w czasach przedhistorycznych punkt obronny, miała góra Ślęż niewątpliwie takie znaczenie dla plemion nadodrzańskich, jak dla wiślańskich miało wzgórze wawelskie a dla Polan nadwarciańskich góra Lechowa w Gnieźnie!“

Władysław Semkowicz: „Historia Śląska“.

przyjęcia Bogusława na dwór krakowski sam w swej „Historii“ zapisał.

Młodziacy syn Eryka II i Zofii pomorskiej znalazł się w towarzystwie synów Kazimierza Jagiellończyka, oddany, jak wówczas powiadano, „do społeczeństwa i usług królewiczów“. Stanowisko jego było czymś pośrednim między pozycją paza a członka rodziny królewskiej. Gromadka uczniów Długosza składała się z 12-letniego podówczas Władysława (potem króla Czech i Węgier) 9-letniego Kazimierza (potem świętego), 8-letniego Jana Olbrachta i 7-letniego Aleksandra (późniejszych królów polskich); z biegiem czasu przybyć mieli do grona Zygmunt („Stary“) i Fryderyk (potem kardynał). Bogusław był najstarszy w owym zespole, liczył bowiem blisko 13 lat.

Wpływ wychowawczy Długosza, trwający dobrych lat kilka (1467 — 1474) pozostawił niezatarte ślady w charakterze Bogusława. Był tym silniejszy, że Długosz nie miał w sobie nic ze sztywnego książkowego bakałarza, wbijającego w głowy uczniów masę teoretycznych wiadomości. Wprost przeciwnie był to człowiek czynu, tegi dyplomata, doskonały administrator i gospodarz, umysł trzeźwy i praktyczny. Wychowanków swych kierował na zdrowych fizycznie, krzepkich i dzielnych ludzi, energicznych rządców i realnych polityków. Znajomość historii, zwłaszcza Polski i krajów ościennych, jaką w olbrzymim stopniu posiadał, pozwoliła mu nie tylko służyć swym wychowankom mnóstwem z dziejów zaczerpniętych przykładów, jak należy a jak nie należy sprawować rządów, lecz także umożliwiła mu roznucie przed ich oczyma pewnej ideologii politycznej, ideologii służby „Koronie Królestwa Polskiego“, którą to nazwą określano ogół ziem polskich, nie wyłączając terenów oderwanych pod względem politycznym czasowo od państwa polskiego.

PROGRAM POLITYCZNY BOGUSŁAWA X I POCZĄTKI JEGO RZĄDÓW

Kiedy w r. 1474 po śmierci Eryka II wstępował na tron pomorski 20-letni wówczas Bogusław X, jego program polityczny był już całkiem wyraźnie skryształizowany. Z grubsza można by go ująć w następujące punkta:

1) Zahamowanie postępów niemieczyzny, reprezentowanej głównie przez Brandenburgię.

2) Wzmocnienie księstwa przez reorganizację stosunków wewnętrznych oraz akcję dyplomatyczną.

3) Przyjęcie zwierzchności lennej Polski.

Zaraz na początku swych rządów zaznaczył Bogusław swą wolę w kierunku realizacji pierwszego punktu programu. Wychowanek syna rycerza z pod Grunwaldu rozpoczął rządy od odmówienia hołdu lennego brandenburczykom i od udzielenia pomocy swemu stryjowi Warcisławowi X w jego zbrojnym zatargu z elektorem brandenburskim. Przeliczyli się jednak z siłami księżęcia pomorscy: O ile początkowo Bogusławowi udało się istotnie odwlec sprawę hołdu, szachując Brandenburgię nawiązaniem stosunków z cesarzem, a przede wszystkim z Polską, równocześnie zaś łagodząc konflikt małżeństwem z księżniczką brandenburską Małgorzatą, — o tyle wojna z elektorem Albrechtem Achillesem skończyła się ich pogromem. Szybka interwencja Polski uratowała wprawdzie Pomorzan od ostatecznej zagłady, nie przeszkodziła jednak brandenburskim zdobyciom terytorialnym, a co gorsza nie uchroniła Pomorza Zachodniego przed koniecznością złożenia hołdu Brandenburgii.

REORGANIZACJA KRAJU

I UCHYLENIE BRANDENBURSKIEGO ZWIERZCHNICTWA

Teraz na pierwszy plan akcji Bogusława — który po śmierci stryja zjednoczył w r. 1478 całe Pomorze Zachodnie w swym ręku — wybił się drugi punkt programu: reorganizacja kraju. Przy pomocy grona trafnie dobranych współpracowników uporządkował energiczny książę administrację, sądownictwo, stosunki gospodarcze (w pierwszym rzędzie monetarne), przywrócił przewagę władzy książęcej nad stanami. Obraz jego rządów na Pomorzu Zachodnim, to jakby działalność naszego Kazimierza Wielkiego w miniaturze.

Czując się na siłach odmówił Bogusław hołdu Brandenburgii po śmierci Albrech-

ta Achillesa (1480). Wytoczył sprawę przed sąd cesarski i przewlekłym procesem na tyle znękał przeciwników, że brandenburczyki zrzekli się zwierzchności lennej nad Pomorzem Zachodnim w zamian za obietnicę odziedziczenia kraju po wygaśnięciu dynastii pomorskiej. Odnosny układ zawarto w Pyrzycach w r. 1493. Nadzieje brandenburskie na spadek pomorski zmalały niebawem do minimum, gdy Bogusław X po śmierci Małgorzaty poślubił młodszą Annę, córkę Kazimierza Jagiellończyka i doczekał się licznych potomstwa.

PRÓBY PODDANIA POMORZA ZACHODNIEGO POLSCE

Trzeci punkt programu politycznego księcia Bogusława, tj. p o d d a n i e P o-

morza Zachodniego w lenno P o l s c e, był najtrudniejszy do przeprowadzenia i najdrażliwszy. Należało się liczyć, że samo ujawnienie tego rodzaju pomysłu wywoła zgodne przeciwdziałanie brandenburczyków, krzyżaków i cesarza niemieckiego. Dlatego też Bogusław z początku nie zdradzał się z tym zamiarem, jakkolwiek serdeczne stosunki, jakie utrzymywał z Polską, pozwalały się domyśleć, że obie strony od początku wiedziały, o co chodzi. Pasowanie Bogusława na rycerza przez króla polskiego w Malborku (1476), czy wspomniane już małżeństwo z Anną Jagiellonką (1491), były krokami przygotowującymi realizację tego planu. Rychła śmierć Kazimierza Jagiellończyka (1492) a niebawem i Olbrachta (1501) przerwały toczące się układy.

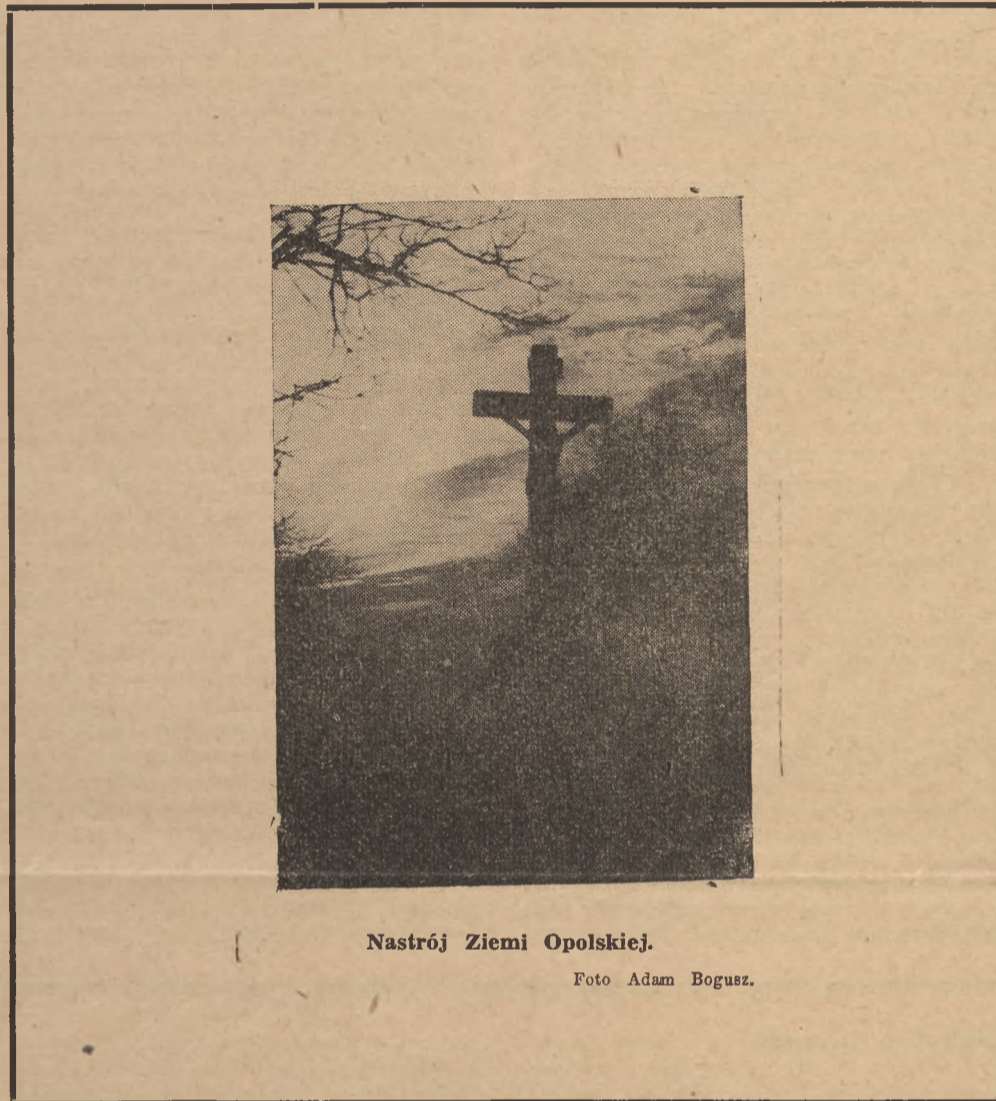
Niezrażony podjął je Bogusław wobec Aleksandra. Ale dziwne jakieś fatum nie przestało działać: Już przeprowadzono wstępne układy, już sejm piotrkowski (1504) uchwalił był pełnomocnictwo dla Mikołaja Kościeleckiego celem dokończenia negocjacji w sprawie z ł o ż e n i a h o ł d u przez B o g u s ł a w a X z wszystkich jego ziem, już się zdecydował na ten krok książę pomorski i jego doradcy; jeszcze tylko umawiano się co do gwarancji polskich na wypadek ataku niemieckiego na Pomorze oraz w sprawie posagu Anny — gdy śmierć króla Aleksandra przerwała wszystko.

Niez mordowany Bogusław X podjął na nowo pertraktacje z Zygmuntem Starym. Ciągnęły się one czas dłuższy i już, już zdawało się w latach 1517/8, że dojdzie do pomyślnego rozwiązania sprawy. Szczególnie forsował pomorskie projekty prymas Łaski. Brak zrozumienia doniosłości problemu pomorskiego ze strony Zymunta Staroego oraz ogółu ówczesnego społeczeństwa sprawił, że tak długo zwlekano z udzieleniem gwarancji pomocy księciu pomorskiemu, aż ten widział się zmuszonym w r. 1521 poszukać zabezpieczenia przed niebezpieczeństwem brandenburskim pod skrzydłami cesarza, od którego uzyskał uznanie swego stanowiska jako księcia Rzeszy.

ZMARNOWANA OKAZJA

Kiedy w dniu 5 października 1523 roku umierał Bogusław X, wierny i wielki przyjaciel Polski, sprawa Pomorza Zachodniego była już dla Polski definitywnie przegrana. Zmarnowano okazję włączenia do Macierzy tej ziemi w chwili, gdy siedzieli nad brzegami Bałtyku, zwłaszcza na prawym brzegu Odry, zwartą masą (jak pisze Długosz) „Słowianie rolnicy, nie innym, jak tylko polskim mówiący językiem, lubo zepsutym“. Dodajmy dla porównania, że w tym samym okresie czasu włączone do Korony Polskiej księstwo mazowieckie na zawsze zrosło się z Polską. Nie inny mógł być los Nadodrzańskiego Pomorza.

A więc nie w roku 1181, ani nawet w czasach Kazimierza Wielkiego istniały i skończyły się ostatnie możliwości włączenia Pomorza Zachodniego do Polski. Istniały one jeszcze znacznie później. Istniały w dniach, kiedy na wawelskie wzgórze wciągnano dzwon „Zygmunta“; kiedy złotą dachówką pokrywano dach kaplicy „Zyguntowskiej“; kiedy wznoszono prześliczne arkady zamkowego dziedzińca; i kiedy pierwszy książę pruski klękał przed królem polskim na krakowskim rynku i składał mu hołd.



Nastrój Ziemi Opolskiej.

Foto Adam Bogusz.

Z TEKI MŁODYCH

Henryk Greb

Owoc

Znaleźli go o świcie... W ogrodzie kościoła
Srebrniał rosą poranną na słonecznych klombach.
Ludziom dank modlitewny na wargi wywołał...
Owoc dziwnej piękności, pyłem gwiazd osypan...
Dwutonowa bomba —
Niewypał.

Rok 1944

Bohaterka

Padła w walce ulicznej... Na skrawionych ceglach...
Nieugięta... Gdy w hardą pierś uderzył granat,
Tchem ostatnim czolgowi naprzeciw wybiegła...
Rozbiła...

Broniąc miasta poległa w męczarniach
Bohaterka nieznaną —
Uliczna latarnia.

Rok 1944

Notatka petitem

W dom naprzeciw bomba uderzyła znowu.
Z dziesięciu mieszkań meble mokną w ogrodzie.
Zostało bez dachu nad głową
10 rodzin. —

Tynk nie osypał się jeszcze.
Wśród ruin wre praca, gwar dudni
Szykuje się 100 wygodnych pomieszczeń
Dla wróbla. —

Tadeusz Sokół

My

Od prostokąta rynku
płyną rzeki ulic,
idą domy.
Od chat odchodzi las,
Na jęku ściętych drzew
rosną fabryczne kominy.
Staw, co do łąk się tuli,
kładzie na jasnej toni
z jednej strony
kamienie pas,
z drugiej
stalowną płomień.
Nad Kamienną
na wczorajszym ugorze
skibę za skibą
ciągnie traktor,
a wyżej
między lasem a fabryką
mój ojciec orze.

Miedzą
czarną plamą fabrycznego ubrania
rośnie brat.

Ojciec
do sakwy końskiej sypie żytnią sieczkę,
siada zgarbiony,
ręką z oczu orkę osłania,
żuże w bezzębnych ustach
podwieczersz.
a ja
w lewej ręce
trzymam domowy, czarny chleb,
prawą otwieram
książkę
i czuję,
jak miłością nad Polską się pochylam.

Marian Ruth-Buczkowski

OJCIEC

Był*) uczniem europejskiego poziomu profesorem Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Zrobił ogromnie wartościowe odkrycia w zakresie przyspieszenia wegetacji pewnych roślin z rodziny strączkowych. Niektóre jego prace mogły mieć duże znaczenie w wojennej gospodarce wyżywniowej. Wiele lat strawił na studiach badawczych w Sudanie, rok rocznie spędzał parę tygodni w Anglii, gdzie miał licznych przyjaciół wśród uczonych i kolonialnych plantatorów.

Już w pierwszym roku wojny znalazł się osamotniony. Żona — wybitna lekarka — znajdowała się na kongresie w Paryżu i do kraju wrócić nie zdążyła; najstarszy syn był w pewnej jednostce lotniczej pod Poznaniem, dwaj średni przebywali w różnych częściach kraju. Pozostał przy nim najmłodszy, czternastoletni, uczeń gimnazjum. Było to ciężkie, lecz ufał, jak wszyscy wówczas ufaliśmy, że nie stanie się nic gorszego nad wojnę.

Pierwszy cios przyszedł w postaci wiadomości o śmierci lotnika. Wiadomość niezbyt była pewna, ale powtarzała się ze wszystkich stron i utwierdzała rozmierami klęski i milczeniem najstarszego. Nastąpiło oblężenie Warszawy. Bomby i pociski armatnie rozniosły zakład botaniki doświadczałnej, a w nim cały dorobek jego życia. Gdy po kilku tygodniach walki Niemcy weszli do miasta, dokonali reszty totalnego zniszczenia: przestały istnieć uniwersytety, szkoły średnie i najskromniejsze nawet instytucje naukowe.

Chronić się przed wywiezieniem do obozu koncentracyjnego, co spotkało wielu polskich uczonych, porzucił własne mieszkanie i pod zmienionym nazwiskiem osiadł w innej dzielnicy miasta. Był pełen najgorszych przeżyć, gdy szło o losy dwóch średnich jego chłopców. Lecz po dwóch miesiącach przedarli się z wschodniej Polski, zajętej przez wojska sowieckie. W starym ocknęło się życie na nowo. Ufał, że jeszcze wszystko da się odrobić, być może wierzył nawet, że wiadomość o śmierci najstarszego okaże się fałszywa. Przetrawanie wydało mu się godne największych zabiegów i wysiłku. To też troska o chłopców pochłonięła go całkowicie. Starszego, który właśnie skończył był studia prawnicze, umieścił u adwokata, młodszego — chorowity i uczulony — wymagał szczególnej opieki, los najmłodszego, dziewczynka prawie, wzbudzał najmniejsze obawy. Zastępował im teraz matkę, i w tej roli odnajdował dla siebie wiele uroku.

Pewien kapitał jakim rozporządzał znał niał go od konieczności zarobkowania, prac badawczych kontynuować nie mógł, całą więc energię skierował w skomplikowane zabiegi, mające chronić synów przed grozą śmierci z rąk Niemców. Nie zostało zaniedbane nic co może zdziałać przezorność ludzka. Dowody osobiste, na autentycznych blankietach, choć na obce nazwiska, zaświadczenia pracy, nawet świadectwa lekarskie miał z nich każdy w porządku i pod ręką. Zerwali niemal wszystkie znajomości, nie bywali nigdzie i nikogo nie przyjmowali, aby nie ściągnąć podejrzeń jakichś potajemnych zebrań. W swoich dwóch skromnych pokoiach żyli jak studenci jakiegoś bardzo rygorystycznego zakładu wychowawczego. Był cenzorem czujnym, wymagającym, o wieczne napiętej uwadze i ostrożności, do szpiku przejęty swoją odpowiedzialnością. Aż do tego czasu — pochłonięty pracą, wykładami i wypadami zagranicę — mało czasu poświęcał chłopcom, wychowanie ich spoczywało głównie na barkach żony. Teraz, gdy los uczynił go — jak mu się zdawało — jedynym orędownikiem ich doli, chciał wypełnić swój obowiązek wzorowo. Czuwał nad nimi dniem i nocą. Rozstawali się na moment, gdy któryś z nich schodził do sklepiku, albo gdy starszy dwa razy w tygodniu szedł na parę godzin do adwokata. Lecz nawet takie rozstania były najpierw dokładnie zbadane pod względem bezpieczeństwa: wypytywał sąsiadów czy na mieście jest spokojnie, czy na ulicy nie ma patrolu żandarmskiego, czy poprzedniej nocy nie odbywały się jakies masowe aresztowania.

Nie pozwalał ani sobie, ani tym bardziej chłopcom na żadne fantazje. Gdy mu przypadkowo spotkany na ulicy przyjaciel,

również profesor, włożył w rękę jakieś fajne pisemko, otrząsnął się, odmówił przyjęcia i natychmiast go pożegnał. Ten postępek sprawił, że w pewnych kołach określono go mianem tchórze. Nie tłumaczył się przed nikim. Komu miał wyjaśnić pobudki, które nim kierowały?

Nie cierpiał lekkomyślności. Patrzył na sprawy trzeźwo. Uważał, że wojna nie powinna zabrać więcej ofiar niż to było potrzebne. Anglia i Francja nie rzuciły jeszcze na szalę całej swej potęgi. Podzielał powszechną opinię, iż wojna skończy się z wiosną. Gdy przestała istnieć rzecz wspólna — państwo — pozostawało już tylko zająć się sobą, bo to była — jego zdaniem — jedyna droga do odnalezienia się znowu we wspólnocie. Ten swój program realizował konsekwentnie. To nie znaczy, że był oportunistą. Nic podobnego. Niemcy go poszukiwali, chcieli mu ofiarować poważne stanowisko w swoich zakładach doświadczalnych. Nie ujawnił się, nawet mu to przez myśl nie przeszło. Robił co należało do niego: wychowywał, uczył i ochraniał swoich synów, których miał zamiar ofiarować ojczyźnie, gdy ta znów się dzwignie.

Nie wiem czy stary zdawał sobie kiedykolwiek sprawę z tego, że na dniu jego programu tkwiło coś co było równie lekkomyślne jak podziemne pisemka, miłość...

...Tymczasem starszy syn, jak już wiadomo, zginął rozstrzelany na Palmirach. Był wzięty z mieszkania swego patrona w pamiętnej brance warszawskich adwokatów. Zapewne, nie był to dla ojca ani lekkim ani spodziewany cios. Ze zdwojoną energią zakrzętał się koło osłonięcia dwóch pozostałych. Zmienił znów mieszkanie, zaszył się z nimi w dzielnicy robotniczej, sprawdził raz jeszcze wszystkie zabezpieczenia, porobił nowe, kontakt ze światem ograniczył do minimum.

Gdyby się był znalazł wraz z chłopcami w dziurawej łodzi na morzu miotanym burzą, bez steru, busoli i mapy, na pewno nie byłby zmuszony do większego wysiłku jak wówczas. To jest porównanie niewłaściwe, lecz idzie mi o to, żeby w wa-

szej wiadomości utkwilo jedno: olbrzymie przeobrażenia jakie musiały się w tym człowieku dokonywać codziennie. Zachodziło to w nas wszystkich i dlatego było niedostrzegalne. Uderzeni w łeb maczugą niemieckiego homunculusa zaczęliśmy się cofać wstecz linii ewolucyjnej. To było groźne. Już nie tylko gotowy produkt myśli ludzkiej, ale sam intelekt był zabijany i pochłaniał sam siebie, świat pojęć bladł i zamilkł, wola zaczęła się ograniczać do prymitywnych zabiegów trwania. Świat profesora rozpadł się, i choć racjonalizował do ostatniej chwili, choć usiłował wspierać się przesłankami logiki, jasnym było, że szedł za przemożnym głosem serca. Postarzał się, osłabła pamięć, zamilkły wszystkie zainteresowania naukowe. Odmłodził tylko w nim stosunek do synów. Nie znał wysiłku, którego by nie podjął dla nich. I udało mu się uchronić ich jeszcze przeszło — dwa lata.

Jesienią czterdziestego trzeciego roku starszego żandarmi zabrali z ulicy. Stary — leżał wówczas chory — ozdrowiał natychmiast, gdy mu sąsiedzi donieśli, że chłopca wrzucono do gestapowskiej budy. Wyleciał na miasto i pierwszą rzeczą jaką zrobił, to było nowe mieszkanie, właśnie to tropikalne, na trzecim piętrze, w którym go poznałem. Przeniósł sam walizę, pilotując ostrożnie chłopca. Zamknął go na klucz, i dopiero wtedy ruszył, aby dowiedzieć się czegoś o losie porwanego. Po tygodniu powiedziano mu w Patronacie, że syn jego jest na Pawiaku.

Setki, tysiące nieszczęśliwych ludzi przychodziło do biura Patronatu, szukając wiadomości o swoich najbliższych wziętych z ulicy, z tramwaju, z pociągów, z miejsc pracy, z mieszkań. Większość nie dowiadywała się niczego, on należał do tych nielicznych, którym dane było zlokalizować swoje cierpienie w ponurym budynku straszliwego więzienia i na tej podstawie budować — nadzieję. Chwytał każdy słych o czymś zwolnieniu, analizował każdy przypadek, szukał najbardziej fantastycznych możliwości. Spieniężył złoty zegarek, resztę biżuterii żony, ubrania, był

gotów najgorszej szuji wcisnąć w łapę każdą kwotę — byle wydrzeć chłopca. Kilka razy stał się ofiarą pospolitych naciągaczy, żerujących na cierpieniu i strachu o najbliższych. W tych zachodach odwykł zupełnie od myśli o własnym bezpieczeństwie. Był cały dzień w ruchu. Przystawał na ulicy z nieznanymi, w tramwaju podслуchiwał szepty sąsiadów, zachodził do mieszkań obcych ludzi, gdy tylko jakiś pozor, aluzja lub plotka pozwalały mniemać, że ktoś może dać radę jak wydobyć więźnia. Wzbudzał litość, sam tak się wyraził o sobie. Musiało to wiele znaczyć, bo w tych czasach każdy mieszkaniec Polski wzbudzał litość.

W takim stanie ducha poznał na ulicy pewną panią. Przechodził obok, gdy rozmawiała z jakąś młodszą dziewczyną i wydało mu się, że doleciało go słowo Pawiak. Zwolnił kroku i, gdy pożegnała się z tamtą, zrównał się z nią i bez wstępów powiedział, że ma syna, że wzięli go z ulicy... Odprowadził ją spory kawał, szła na Żolibórz, i w drodze opowiedział jej wszystko o sobie, o swoich stratach i żarliwym trudzie ocalenia najbliższych. Wzbudziłby zaufanie w najbardziej tchórzliwym osobniku a cóż dopiero, gdy szło o kobietę tak niepospolitą. Usłyszycie jeszcze o niej, teraz tylko powiem, że była to kobieta cicha, subtelna i ofiarna. Nazywał ją Wolą Boską, bo miała zwyczaj największe niebezpieczeństwa zbywać tą inwokacją wiary lub fatalizmu. Znajomość ta przetrwała dłużej i przyniosła pewne zmiany w jego życiu.

Tego pierwszego dnia Wola Boska wzięła jego adres, imię i nazwisko syna i zrobiła niejedną nadzieję, że postara się o wiadomość od chłopca. Pożegnała go uściśkiem drobnej dłoni i tklwym uśmiechem, potrząsnęła jego ręką, jakby uważała go za dawnego przyjaciela i powiernika. Obejrzał się jeszcze za nią, gdy schodziła z placu Inwalidów, żalobnie odziana, prosta, z wysoko podniesioną głową, śmiało patrząca przed siebie.

Wrócił do domu z radosnym napięciem oczekiwania. Najmłodszy, chłopak subtel-

Walerian Lachnitt

Spór o Regę

Od niepamiętnych czasów Rega leniwie toczyła swe wody ku Bałtykowi. Zwierzył tylko dzięki przychodząc do wodopojów, a po rzece płynęły pnie podmytych i podmuchem wichury obalonych leśnych olbrzymów. A kiedy z nurtem popłynął ku morzu pierwszy trup — zaczęła się dla Regi historia. Najpierw przez długie jeszcze wieki niepisana. Czasem tylko od morza zapaściła się pod prąd łódź Wikingów, to znów z prądem niesiona pierwszy raz wywiodła naszych przodków z nad Regi na morze. Dla osad nad rzeką była ona najkrótszym i najwygodniejszym gościńcem, a obfitość ryb dostarczała pożywienia, o które w tych pierwotnych czasach nie zawsze było łatwo.

Wykopaliska sprzed dwu i więcej tysięcy lat dowodzą, że mieszkali tu już wtedy ludzie, ale pierwszy zapis historyczny mówi o tych osadach dopiero pod datą roku 1170. Istniał tu wówczas klasztor Premonstratensów w Białymbuku a naprzeciw niego nad rzeką osada Trzebiatów, zaś prawie 18 km w górę rzeki drugie osiedle: Gryfice. Droga z Trzebiatowa ku morzu była krótsza i mniej narażona na kapryśny stan wody Regi. Ale i gryficianie często wyruszali na morskie połowy aż na pełne morze a zboże, miód, wełnę i tkaniny, z których słynęli, statkami wozili do Skandynawii nawet i dalej, aż hen ku zatoce Fińskiej.

Obie osady prawie równocześnie otrzymały prawa miejskie: Gryfice w 1262 a Trzebiatów w 1277 r. Od tamtych czasów datuje się rywalizacja obu miast. Walka o przywileje, o prymat żeglarski na Redzie, trwająca pięć stuleci, wiele krwi kosztowała, jeszcze więcej łez, niejedno nieszczęście i śmierć niejedną.

A zaczęło się od tego, że opatem klasztoru w Białymbuku był wówczas Thidbold,

człek silnej woli, nie przebierający w środkach, wiodący do jedynej jego celu: wzbogacenia i rozszerzenia potęgi opactwa.

Już w przywileju kołokacyjnym ksiądz Bogusław IV zastrzegł Gryficom wolność od cla i nakazał klasztorowi zniesienie płotów na ryby, zastawionych w rękę a utrudniających spław. Ale znać Trzebiatów — może przez sąsiedztwo klasztoru — bliższym był księciu, bo go hojniej obdarza przywilejami. Po zwolnieniu od cla na drogach bitych, otrzymuje w 1303 prawo składu, a w sześć lat potem wolność od cla na wodach o milę od brzegu morskiego. Nadto w 1306 kupił Trzebiatów od Bogusława IV prawo ściągania opłat przy ujściu Regi, która — nawiasem mówiąc — wpadała do morza nie tam gdzie dzisiaj, lecz 3 km dalej na wschód przez jezioro Resko. Ten ostatni przywilej obok podobnych uprawnień na rzece Małostowej, uzyskanych w 1310 r. — dowodzą razem nie tyle istotnej na owe czasy potrzeby co dalekowzroczności i wielkiej przedsiębiorczości mieszczan Trzebiatowa. W zdolnościach kupieckich przewyższali oni Gryficzan, ci więc starali się różnicę wyrównać zawzięcią. Sprawa ich nie była bez słuszności. Bo kiedy klasztor zaczął ściągać cla za przejazd a wreszcie wybudował tamę na rzece, by podnieść poziom wody dla założonego młyna — Gryficianie dotknięci boleśnie w swych interesach do samego papieża wnieśli skargę w chciwego opata. Sąd kościelny w Szczecinie, któremu sprawę do rozsądzenia przekazano, przyznał miastu słuszność a opata skazał na grzywnę płatną pod groźbą klątwy. Ten wnioś odwołanie od wyroku, lecz ponownie przegrał a odszkodowanie przyznane Gryficom wyniosło ogromną na owe czasy sumę 83 tysięcy talarów.

Widać wcale ożywiony ruch musiał panować na Redzie, skoro tak wysoko oszacowano straty Gryficzan. Kiedy opat grzywny w terminie nie zapłacił — groźbę wykonano, rzucając nań klątwę. W klasztorze i należnej doń okolicy uciąły praktyki religijne. Krnąbrny opat nie uląkł się jednak, podjął rzuconą mu rękawicę i rozgorzała prawdziwa wojna domowa.

Obie strony napadały na się wzajemnie, młyn klasztorny zniszczono, a że miasta nie wiele mogły sobie szkód wyrządzić — najwięcej, bo jedynie, cierpieł okoliczni włościanie. Wreszcie biskup z Kamienia jako rozjemca uznał wyrok skazujący klasztor za prawomocny, zmniejszył tylko wysokość grzywny, przyznając za to Gryficom zwolnienie od wołowego i opłat od towarów suchych. Na lat kilkadziesiąt zapanał spokój. Wykrzytał ten okres przedsiębiorczy Trzebiatów. Uzyskał był już w 1322 roku od Wartysława IV za jednorazowym odszkodowaniem 80-ciu, grzywnien srebra i rocznym czynszem wysokości 10-ciu grzywnien, prawo ściągania podatków w miasteczku Regiujście, powstałym z wioski rybackiej tej nazwy co rzeka, u której ujścia leżała. Cena na owe czasy była wysoka, ale snąć musiała się opłacać. Może i dlatego, że rada miejska Trzebiatowa posiadała monopol wystawiania zezwoleń na wywóz żyta, jęczmienia, mąki, piwa i chleba. I znów Gryfice miały powód do narzekań na wygórowane ceny papierów okrętowych. A Trzebiatów bogacił się. W porcie u ujścia Regi miał duże statki, na które przeladowywano towary przywiezione barkami. Były już wtedy mniejsze miasta handlowe Pomorza, jak Wolin, Dyminek, Dąb, Koszalin, Gryfice i Trzebiatów, członkami Hanzy a reprezentantem ich w radzie związku miast morskich — jakby się dziś powiedziało — był Kołobrzeg. Nie bardzo jednak rozumiały te miasteczka interesy swych wielkich protektorów, skoro zostały z ich grona smotnie wyrzucone za nieprzestrzeżenie zakazu handlu z Danią i Nor-

*) Rozdział z powieści „Łącznik Głównej Komendy“.

ny i przewrażliwiony, zauważył ten zmieniony nastrój ojca i zarzucił go pytaniami. Cóż miał mu powiedzieć? Przecież nie miał w ręku żadnych faktów, całe to spotkanie, zdarzenie, czy fakty je określić nie miało żadnego znaczenia. Wątpliwy miraż wiadomości od uwiezionego? Przeżyli to już tysiącokrotnie. Po prostu jeszcze jedna nadzieja, zrobiona przez jeszcze jedną osobę.

Gdy, poruszony natarczywością syna, zastanawiał się nad odpowiedzią, przyszedł nagle do przekonania, że właściwie szkoda trudu. Zawikłałyby tylko wszystko w nieporadnej relacji, może nawet ośmieszonyby siebie i wzbudził tylko nieufność. „Rzecz przecież odbywała się w innej płaszczyźnie”, tak to określili i zamknęli niejako nieistniejącą dyskusję. Być może, że jakimś słowami nakazał chłopcu milczenie. Nie dowiemy się o tym nigdy. Zbagatelizował całe to zdarzenie, zbył wrażliwość dziecka, nie potrafił sam przed sobą określić swego stanu i być może wykonał jakiś odruch zniecierpliwienia. A kto wie, gdyby opowiedział wówczas chłopcu o tym spotkaniu, może łącznik Komendy Głównej nie byłby padł na rogu Wielkiej? Osądźcie sami. Nie będę się nad tym zatrzymywał, bo nie zatrzymuje się nad takimi subtelnościami człowiek, gdy zmudnym lub lekkim krokiem idzie ku swemu przeznaczeniu.

W radosnym podnieceniu stary przeżył dwa dni. Robił plany, układał projekty nowej pracy naukowej, myślał o przyszłości, jakby była już pewna, szperał po antykwariach za książkami. Gdy trzeciego dnia wracał z takiej wędrowki z tomami pod pachą, w szparze swoich drzwi zastał wetkniętą kopertę. Książki potoczyły się po schodach, drżącą ręką nie mógł trafić kluczem do zamku, gdy wreszcie wleciał do pokoju, mógł mu się na pewno wyrwać okrzyk w rodzaju: — to od niej! Rozewał kopertę, wyfrunęła z niej bibułka papierosowa pokryta drobnym piśmem uwiezionego syna, — to był gryps z Pawiaka. Syn donosił, że jest zdrow, że nic mu nie mają do zarzucenia, że jest dobrej myśli, prosił, żeby dbali o swoje zdrowie, wiecie przecież... Czytali karteluszek po trzykroć, ściskali się z radości, stary przewracał kopertę, pstrykał w nią palcem, składał rozdarcie, jakby na pospolitej kopercie, kupionej pewno w sklepiku na dole, spodziewał się odkryć

Bóg wie co! A jednak spodziewał się. — Wreszcie nie wytrzymał. Chwycił kapełusz i wybiegł.

Gnał ulicami, potracając przechodniów, nawet zandarmi spojrzeli za nim ze złośliwym uśmiechem politowania. Chciał ją spotkać natychmiast. Idąc od miejsca, w którym zobaczył ją po raz pierwszy znalazł się na Żoliborzu. Jej śladem błądził w płataninie ulic. Obrzucał wzrokiem okna willi, przez sztachety zaglądał do ogródków, wystawał na skrzyżowaniach. Naprawdę. Wrócił do domu zziębnięty i stropiony. Zrozumiał, miał w ręku nić pajęczą, a czuł się tak, jakby na tęgiej linii holował tego chłopaka, potrzebującego ratunku i pomocy. Już był blisko brzegu. Gdzież ona się podziewa na rany Boskie, ta opatrnościowa osoba? Czas nagiął!

Te wzruszenia ojca nie uszły zapewne uwagi syna. Jak mógł je rozumieć? Lecz nie pytał o nic. Zresztą, teraz stary za nic w świecie nie powiedziałby ani słowa o tym spotkaniu. Sama ostrożność to nakazywała. Chłopak był sensatywny, żył fantazją, na wskutek stałego zamknięcia bardzo pobudzoną. Takie fakty mogły go pociągnąć ku konspiracji i tym wszystkim strasznym rzeczom, za które tylu ludzi płaciło śmiercią. To było wykluczone. „Nigdy nie jest się dość ostrożnym” — musiał to sobie z wyrzutem pomyśleć i postanowił natychmiast rozwiać w chłopcu jakąkolwiek myśl o tajemniczym sposobie przenikania grypsu z za murów więzienia. Tłumaczył mu nieudolnie, powołując się na różne znane wypadki, że kartka była wyrzucona przez tamtego, gdy go przewozili z śledztwa, ktoś ją podjął... Lecz przypomniał sobie, że gryps nie miał adresu, więc podsunął, że mógł ktoś wypuszczony z więzienia, znając adres na pamięć... Tak, na pewno. Zdarzały się takie wypadki.

Miał wrażenie, że chłopakowi wystarczyły te wyjaśnienia. W każdym razie nie zadawał więcej pytań ani nie okazywał wątpliwości.

Zresztą, myśli ojca były tak zaprzęgnięte koniecznością natychmiastowego odnalezienia Woliboskiej, że nie miał czasu na analizowanie wzruszeń najmłodszego. — Miał przecież w ręku coś realnego! Po tylu daremnych trudach, po tylu zawodach, złudzeniach i halucynacjach — wreszcie rzecz konkretna! Nawiązany kontakt z synem był faktem, pozwalającym

domyślać się, że nie wszystko jest stracone. Jeśli w potwornym więzieniu istniały szczeliny przez które mogły przesunąć się takie karteluski, można było przypuszczać, że są i inne jeszcze możliwości. Należało tylko działać. A działać to natychmiast odnaleźć tę dobrą kobietę. Będzie ją błagał, ofiaruje jej na ten cel wszystkie pieniądze, poświęci cały swój czas i siły. Będzie wykonawcą każdego zlecenia, mającego ułatwić przedsięwzięcie.

Miał wtedy bardzo mgliste wyobrażenie o roli tej kobiety i o charakterze jej możliwości. Jestem zresztą pewien, że w jego nieszczęsnej wyobraźni jej rola nigdy nie skrytykowała się naleźycie i do końca wierzył, że jej osoba była poza tym wszystkim, co później nastąpiło.

Tego wieczora, gdy siedział przy stole naprzeciw swego najmłodszego syna, czytającego jakąś powieść, napewno nie przeczuwał tego, czym ona miała się stać w ich życiu. A może serce jego miało rację, może ona rzeczywiście nie była niczym w ich życiu?

Duży plan Warszawy rozłożył na stole i krążył oczyma nad miastem, przebiegał żłobiny ulic, okrążał kotliny placów, przesłuchiwał kopulaste wzniesienia parków, wzdłuż biegu rzeki i nad piaszczystym rozsypiskiem przedmieść kołysał się, czuwał, czekał na magnetyczne drganie mające wskazać miejsce, gdzie jej należy szukać. Oczy szesnastoletniego chłopca odrywały się od książki i pełne zdumienia spoglądały na ojca.

Następnego dnia na schodach zetknął się z młodą dziewczyną, w towarzystwie której poraz pierwszy zobaczył swoją orędowniczkę. Przysłała aby mu podać adres i godzinę spotkania. Gdy wreszcie doczekał się oznaczonej pory był nieprzytomny z wzruszenia i niecierpliwości. Zastał ją w mieszkaniu ciemnym i cichym, pełnym starożytnych mebli w pokrowcach, w jednym z tych starych domów jakich wiele było na Wilczej. Nie pozwoliła na podziękowania, uśmiechnęła się, gdy wspomniał o gotowości ofiar pieniężnych, nie odpowiedziała, gdy oświadczył, że jej daje do dyspozycji swoją osobę. Prosiła, aby nie robił sobie zbyt nadziei. Możliwość otrzymywania grypsów to właściwie wszystko. Sama straciła córkę, wie czym jest cierpienie. Podała mu bibułkę i poleciła napisać list do syna. Męczył się. Nie

Janina Żelechowska-Zabierzewska

Z cyklu „Wałbrzych“

W kłamrach zielonych

*Doliny w gór ramiona przyjaźnie wtulone
odkryły swoje piękno— jak otwarta książka,
pisana pół strofami — i w kłamrach
zielonych,
przetykana strumieni lśniąca srebrną
wstążką.*

*Dachy domów czerwone lśnią w słońcu
rubinem.
Drzew seledyn się wtapia w czysty szafir
nieba —
Falująca zbóż płowość ze złotem łubinów—
(subtelny miód z goryczką rosnącego
chleba).*

*Tu w ciszy nie rozpaczam — olśniona
pięknością.
I ciosów lat ubiegłych Bogu nie
wymawiam.
Z niewidzialnego tunelu pociąg
zazgrzytał na moście —
— oto nasz węgiel wałbrzyski jedzie
do Wrocławia...*

mógł znaleźć słów. Gdy w bezsenne noce najczulszymi słowami przemawiał do syna było ich bez liku — teraz nie mógł ich dobrać kilkunastu. Gdy wreszcie oddał jej żalosne pismo, błagał by znów mógł następnego dnia, lub kiedy pozwoli, przyjść. Zajrzała do kalendarzyka i wyznaczyła spotkanie za tydzień.

Z jakąż żalością wyszeptał: „to był najszczęśliwszy tydzień jaki przeżyłem w tym ponurym okresie”. Poprzez ciemność dojrzałem w jego oczach błysk, jakby na sekundę zapaliły się w nim dawne wzruszenia.

A w ciągu tego tygodnia, w więzieniu dokonała się choroba i śmierć syna. W oznaczonym dniu oddała mu ostatni list chłopca, pisany w interwałach tyfusowej gorączki i opowiedziała skąpe szczegóły.

Był wstrząśnięty. Miał wrażenie, że wszystko zaczyna lecieć, zapadać się, z przestrzeni sunęła złowroga pustka, niósąc ostateczną zagładę. Na nic miały być wszystkie wysiłki, na nic plany i marzenia, cała energia, tak rozbudzona w ostatnich tygodniach miała się rozprysnąć w nicność! Uległ złudnemu przekonaniu, że cios ma dopiero nastąpić. Oparł się ramieniem o drzwi. Czuję, że nie może przestąpić progu tego mieszkania bez pewnością powrotu.

Wyszeptał prośbę, by mu wolno było przyjść — za tydzień...

Nowości wydawnicze „Wiedzy”



Do nabycia we wszystkich księgarniach
cena zł. 250 (75)

węgią w czasie wojny Hanzy z Waldemarem IV-tym w drugiej połowie XVI-tym wieku. Reputacja ich była raz na zawsze nadszarpnięta, bo choć znalazły się w Hanzie znowu pod koniec tego wieku, ale tym razem wyraźnie pod groźbą ponownego na lat 10 wykluczenia nakazuje się im wystawienie dwu statków z 80-ciu ludźmi załogi na wyprawę przeciw korsarzom. Wiemy, że Trzebiatów i Gryfice próbowały wykreślić się od tego nakazu: czy się im udało historia milczy.

Położenie geograficzne Gryfice upośledzało je na korzyść Trzebiatowa, który w roku 1436 uzyskuje na tych samych co Lubeka prawach przywilej utrzymywania faktorii handlowej na wyspie Dragör. Polowy śledzi i związany z nim ożywiony ruch transportowo-handlowy przesunęły się na początku XV wieku bliżej brzegów szwedzkich.

Trzebiatów skwapliwie wykorzystuje nowe możliwości. W czasie połowów faktoria na Dragör zawsze obficie była zaopatrzona w sól, ziarna wszelakie i piwo a nawet cebulę i pieczywo. Handel Trzebiatowa sięga po Strzałów, Lubekę, Kopenhagę, Bornholm, Gdańsk i szwedzką prowincję Schonen. W Bergen i Kopenhadze ma Trzebiatów swe składy a w Strzałowie okręty Trzebiatowa wolne są od cła. Ten okres dobrobytu zniemawidzonego miasta to oliwa do ognia dla Gryfice.

Do odnowienia się starych zawiści przyczyniło się odbudowanie młyna i tamy pod Trzebiatowem. Sprawa oparła się ponownie o papieża i księcia. Zarówno sąd książęcy w Derłowie jak i fakultet prawny uniwersytetu w Gryfii i tym razem rozstrzygnęły na rzecz Gryfice. Zato dufny w siebie i obrażony w swej dumie Trzebiatów wzbraniał się wpuścić do miasta księcia Eryka, posadzając go o sprzyjanie Gryficom. Dopiero Bogusławowi X, największemu z 50-ciu książąt pomorskich, udało się nakłonić Trzebiatów do wybu-

dowania śluz dla umożliwienia przejazdu statkom Gryficzian. Ci znowu pokazali się małosłownymi kłótnikami, gdyż już na otwarciu śluzy w obecności księcia Bogusława, narzekali, że jest za niska i statki ich przy przyjeździe muszą składać masyżę. Musiał im dopiero książę tłumaczyć, że przecież i rycerze pochylają oszczepy, przechodząc przez niskie wrota. Jakoś znowu szczęśliwie na lat 60 zapanował błogostawny spokój.

Może i dlatego, że Gryfice uznały się za pomszczone przez los, gdy w roku 1497 ogromna burza potopiła okręty Trzebiatowa zakotwiczone przy ujściu Regi, a i Kołobrzeg starał się ograniczyć wpływy handlowe konkurenta Gryfice, posuwając się nawet podobno do zablokowania portu wrakami.

Mimo tych przeciwności jeszcze w XVI wieku były to wpływy wcale poważne, bo jak wskazują cyfry przez cieśninę Sund przeszło statków Trzebiatowa w roku 1545 cztery, w 1575 dziewięć, w dwa lata później dwadzieścia, w 1583 nawet dwadzieścia dwa, a w 1585 jeszcze piętnaście. Nawet upadająca Hanza zazdrościła Trzebiatowowi.

Dla Gryfice rola handlowa już się właściwie skończyła. Rega powyżej Trzebiatowa była tak zamulona, że statki mogły spływać dopiero od Kładkowa a próba spuszczenia na wodę większego okrętu za kończyła się fatalnie. Statek kilkakrotnie osiadał na mieliźnie, co kosztowało Gryfice cenę kilkakrotnego przeladunku oraz moc trudów i upokorzeń przy ściąganiu statku z mieliżny przy akompaniamencie złośliwych uwag Trzebiatowian. Utrudniali oni spływ statkom Gryfice na wszelki możliwy sposób. Barki Gryficzian nieraz cały tydzień czekać musiały na otwarcie śluz. Stąd powód do nowych sporów. Kiedy Gryfice nie chciały wziąć udziału w naprawie falochronu przy nowym ujściu Regi (Deep) aż Trzebiatów naprawi służbę, miasto tłumaczyło się trudnością w do-

stawie drzewa z górnej Regi, którą Gryficzanie zamknęli. Zazdrość Gryfice oraz obawa, że inne miasta zyskać mogłyby większe niż one zyski, sprawiły, że upadł projekt połączenia Regi kanałem z Drawą a przez nią z Notecią i Wartą.

Jeszcze raz zazdrość Gryfice została wystawiona na próbę, gdy po przejściu Pomorza Zachodniego pod panowanie szwedzkie traktatem w Saint-Germain z 1579 roku, na krótko rozkwitł handel Trzebiatowa. Wobec uniemożliwienia przez Gryfice korzystania z drzewostanu górnej Regi próbowało miasto uzyskać nowe tereny dla eksploatacji handlowej. Projektowano mianowicie połączyć Regę przez jezioro Resko z Prośnicą. Plan nie został zrealizowany częściowo z braku funduszy a bardziej może z obawy o zalanie łąk i wygłodzenie kraju w wypadku zbyt znacznie ułatwionego wywozu.

W XVIII wieku handel zagraniczny Trzebiatowa już prawie nie istnieje, choć miasto posiada jeszcze w 1712 roku dziewięć statków. Gryfice w 15 lat potem w ogóle zaprzestali spławiania towarów Regą, a wreszcie i magistrat Trzebiatowa w 1744 roku stwierdza, że miasto nie posiada już ani statków ani przedsiębiorców okrętowych.

Może nowe, polskie już teraz, Gryfice i Trzebiatów rozpoczną na nowo dawne pięciowiekowe współzawodnictwo. Ale bez sporów a dla ożywienia, wspólną pracą, starej słowiańskiej Regi. Bo długo była w uspieniu.

Tymczasem Rega, jak od stuleci, toczy swe płytkie wody spokojnie i leniwie starym korytem ku morzu. Spory, które kiedyś jak wiry mąciły bieg dziejów, minęły, poszły w zapomnienie i mało kto wiedział głębiej na inflacyjnych banknotach Gryfice z 1921 roku wyrysowano ośla bijącego się z błaznem. Był to ostatni ślad wiekowych sporów o Regę.

Kazimierz Koźniewski

Zryw szkodliwego banału

Na końcu swej książki dr. Feliks Widy-Wirski żąda od czytelników potraktowania jego wypowiedzi w oderwaniu od jego stanowiska państwowego. Cieszy nas ta uwaga. Głównie dlatego, iż dowodzi ona, że opinie wyrażone w książce przez pana Widy-Wirskiego nie koniecznie są realizowane w administracyjnej i publicznej polityce wojewody poznańskiego. To już jest wystarczający powód do radości. Sądźmy, iż mamy prawo podobnie ustosunkować się i do drugiej wypowiedzi z tego cyklu, do książki napisanej przez p. Zygmunta Felczaka.

DUCH STACHNIUKA

Wypowiedzi „Polski i Rewolucji”¹⁾ i „Drogi Wielkiej Odnowy”²⁾ w swym zrębie zasadniczym nie są nam nowe. Znamy je z lat okupacji, jako kryptonimowe druki pt. „Zarys Ekonomii” i „Zagadnienie Totalizmu”, a nawet z okresu jeszcze starszego, z osławionej książki Stachniuka, „Dzieje bez dziejów”. Nad całą postawą ideową grupy „Zryw” unosi się stale duch Stachniuka. Uległ on jednak — dla nieznanego bliżej przyczyn — pewnej modyfikacji. Przycięto go nieco, a raczej wypaproszono. Usunięto bowiem zasadniczą treść filozofii Stachniuka, pozostawiając jednak i końcowe wnioski i charakterystyczną formę językową, w jaką ten poznański ekonomista ubierał swoje wypowiedzi.

„Dzieje bez dziejów” — są książką, z którą można się zasadniczo nie zgadzać, można i trzeba jej postawić zarzut bałamuctwa słowną frazeologią — ale równocześnie trzeba przyznać, iż tworzy ona pewną zwartą całość o swoistym wewnętrznym sensie. Uczniom Stachniuka, tym ze „Zrywu”, istota ideologii mistrza jest nadal bliska. Wydaje się jednak, że ideologia „Zrywu”, tak jak ona dziś wygląda — cierpi na brak rozsądnego poczucia.

Stachniuk w swych „Dziejach bez dziejów” sformułował tezę niedwuznacznie. Stwierdziwszy, iż w stosunku do innych narodów Europy Środkowej i Zachodniej naród polski znajduje się na niższym szczeblu rozwoju cywilizacyjnego, winą za ten stan rzeczy obarczył katolicyzm. W obszernym historycznym zestawieniu Stachniuk stara się wykazać, że podobnie Polsce zaniedbane narody, jak włoski czy hiszpański, są właśnie katolickie i że okres cywilizacyjnego upadku Polski rozpoczął się wraz ze zwycięstwem kontroreformacji. Tak wygląda przełamana z dziwnego języka „Zadruki” na język polski kwintesencja opinii Stachniuka. Stachniuk był konsekwentny. Ponad rzekomą bierność, pasywność narodów katolickich — stawiał aktywność życiową narodów protestanckich. I te jednak nie były mu ideałem. „Zadruga”, grupa, której przewodził, deklaruwała się przed wojną, jako „neo-pogańska”. Postulowała kult prasłowiańskich bożków. Uznawała ona moralny prymat „pogańskiej słowiańszczyzny” zarówno nad późniejszymi katolickimi i prawosławnymi ludami pochodzenia słowiańskiego, jak i nad protestanckimi anglo-germanami.

W katolicyzmie, w zakresie węższym, a chrześcijaństwie w szerszym, upatruje Stachniuk źródło wszelkiego zła doczesnego, które ujawniło się (w odniesieniu do Polski) w istnieniu t. zw. przez Stachniuka „niżu cywilizacyjnego”. Na podstawie niesłychanie naiwnej i bałamutnej skonstruowanych porównań okresów cyklów rozwojowych i historycznych, przewidział Stachniuk w roku 1939, że nowy przełom w duszach Polaków nastąpi koło roku 1945. I rzeczywiście. Rok 1945 stał się rokiem o wielkiej dla narodu naszego wadze. Tylko o nieco innym charakterze, niż to sobie roił Stachniuk. Może jednak mistrz Stachniuk myślał wtedy już tylko o tym, że w końcu 1945 roku ukaże się książka Widy-Wirskiego, a z początkiem 1946 — Felczaka. Nie sądzę jednak, by książkom tym dane było

wywołać jakkolwiek zmianę w charakterze i losach naszego narodu. Głównie dlatego, iż oceny ich są błędne, a instrukcje i sugestie niebezpieczne i nie budzące zaufania.

Dzisiejsi ideolodzy „Zrywu” przejęli od Stachniuka do swego publicznie głoszonego kanonu dwa elementy. Po pierwsze — słownictwo i maniery językowe, które miejscami przez tworzenie i nagromadzenie bezsensownych nowotworów doprowadzają do jakiegoś niezrozumiałego absurdu; sprawia to wrażenie, iż lektura obu książek odbywa się jak w obcym, a mało znanym języku, który wymaga nieustannego dokonywania przekładów na język polski.

Po drugie — stachniukowską ocenę polskiej rzeczywistości, jako opóźnienia cywilizacyjno-materialnego wobec narodów Zachodu. Przyczyny tego zjawiska dopatrują się oni w kontemplacyjnej, pasywnej wobec życia doczesnego, postawie społeczeństwa polskiego. Wyjściem z tego impasu — według „Zrywu” — może być tylko natychmiastowe przyzwanie przez cały naród jakiejś postawy aktywnej.

Znikł tylko antychrześcijaizm Stachniuka, jako punkt wyjścia całego rozu-

mowania i neo-poganim, jako jego konsekwencja.

*

Obie omawiane książki nasuwają masę uwag. Prowokują częste sprzeciwy. W wielu wypadkach spostrzeżenia autorów są trafne. Wypadnie się z nimi zgodzić, pod nieodzownym warunkiem przełamania na język zrozumiały. Np. Widy-Wirski konkluduje, iż cechą czasów nadchodzących będzie łączenie się mniejszych organizmów politycznych i narodowych w wielkie całości (str. 195, 200) i w zrealizowaniu się takich właśnie wielkich całości politycznych słusznie widzi remedium na wojnę (str. 213) spośród masy stwierżeń banalnych, fałszywych lub słusznych — trzeba wyłowić pewne zasadnicze rysy światopoglądu reprezentowanego przez pp. Widy-Wirskiego i Felczaka, a zorganizowanego politycznie ongiś w „Zrywie”.

Trzy są momenty specjalnie dla ideologii tak zwanego „Zrywu” charakterystyczne.

„WEGETACJA I SPRAWCZOŚĆ”

Punktem wyjścia ideologii „Zrywu” jest teza, która po pracach Bobrzyńskiego, Kalinki, Bujaka i innych stała się na-

szym narodowym truizmem, na który moda powraca od czasu do czasu. Tezą tą jest: iż naród polski odznacza się specjalnie bierną postawą życiową, że tkwi w nas jakowaś specjalnie fatalna siła bierności, jakiś (jak określa Felczak) „bierny indywidualizm”. Ta siła ogólnonarodowej, psychicznej inercji spowodowała, iż na odcinku kultury materialnej (a więc i politycznej — niestety!) pozostaliśmy daleko w tyle za naszymi zachodnimi odleglejszymi i bliższymi sąsiadami. Felczak uważa, iż porzuciliśmy rolę budowniczych i twórców. Akt oskarżenia formułuje on nader dokładnie. Tak dokładnie, że warto zastanowić się nad nim przez moment. Imputuje on nam:

„a) **wzgarda dzieła**, doznanie obcości w stosunku do spraw, wiążących się z kulturą; podstawą jest wiara, że nie ma tak ważnych rzeczy na świecie, aby dla nich warto było nadmiernie się wyteżać, walczyć; stąd płynie lekceważenie dla wielkich namiętności; postawa „kibica” wobec procesów historii,

b) **kult oderwanej od życia osobowości** wynika z pierwszej wartości; skoro dzieło nie jest ważne, ważnym się staje sam człowiek, jako fakt biologiczny,

c) **bierna dobroć i wyrozumiałość**, jako konsekwencja, że wszyscy są równi przez fakt egzystencji; społeczne osobniki, zagrożone w marażmie, spoglądają na siebie z wyrozumieniem, litością i miłością, gdyż życie wszystkich jest jednakowo puste i szare,

d) **jałowe pojmowanie i stosowanie etyki**, będące wynikiem zastojów i kontemplacyjnego podziwu dla świata; skoro czyn jest bez wartości, miarą wszystkiego są intencje i perturbacje natury czysto-wewnętrznej” (Felczak „Droga Wielkiej Odnowy” str. 95—96).

Do tych punktów dorzuca jeszcze (str. 89) Felczak oskarżenie Polaków (powtarzając za prof. Rybarskim) o „romantyzm ubóstwa”. Nie wiem, czy zachowanie się znamomitej większości narodu w ciągu ostatnich lat daje dostateczne podstawy do takiego twierdzenia.

Falsz tego rodzaju oskarżeń jest aż śmiesznie wyraźny. Wydaje mi się, iż cała nasza historia ostatnich lat dwustu (od panowania „króla Stasia”) jest nie czym innym, jeno właśnie nieustannym **zrywaniem się do czynu, dokonywaniem czynu zbrojnego**, z reguły wbrew okolicznościom politycznym, często wbrew rozsądkowi, zawsze jednak w myśl zasady wyłożonej przez Widy-Wirskiego („Polska i Rewolucja” str. 41), że charakter istoty narodu ujawnia się w zbrojnym czynie. Jeżeli o co wolno oskarżać naszą przeszłość, to o nadmiar czynu, może czynu bezmyślnego, choć na ogół był on może fatalnym, ale logicznym rezultatem sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy. Oskarżanie nas o brak czynu, o inercję, postawę kontemplacyjną, o lekceważenie wielkich namiętności, o postawę li tylko „kibica” historii — zaprawdę zakrawa na kpiny. Żaden z ideologów „Zrywu” nie nawołuje do rozsądku — nawołują oni tylko do czynu, do czynności, do aktywności, do „sprawczości”. Że też Jan Kott, tak traskliwie dbający o rozsadek młodych harcerzy, nie postawił jeszcze swojej kropki nad „i” nad wyznaniem wary członków władz głównych Stronnictwa Pracy. Miałyby wdzienniejsze pole do popisu. I większy byłby pożytek.

Dwa dalsze punkty „zrywowego” oskarżenia o „bierną dobroć i wyrozumiałość” oraz o „jałowe pojmowanie i stosowanie etyki” są, przy całej bałamutności sformułowań, oskarżeniem nie tylko polskiej, lecz w ogóle ogólnoludzkiej, przez chrześcijaństwo światu zaszczerpanej, etyki i moralności (Powiało tutaj Stachniukiem!) Felczakowi sekunduje Widy - Wirski, stwierdzając patetycznie na str. 340 swej książki: „Etyka dzieła nie zna oportunistu; uświęca ona z góry odstępstwo od pewnych nakazów etyki dogmatycznej w imię obowiązków ważniejszych i wyższych, z potrzeby i stosunku do dzieła płynących”. Oskarżenia i sformułowania tego rodzaju w konsekwencji swej mogą doprowadzić do rewolucji... będzie to jednak tylko „rewolucja nihilizmu”, przez dzieci znana dobrze pod nazwą „moralności Kałogo”.

NAGRODA LITERACKA CZYTELNIKÓW »ODRY«

Otrzymałmy następujące pismo od jednego z naszych czytelników:

Katowice, dnia 29 lipca 1946 r.

Do Redaktora tygodnika „ODRA”

Panie Redaktorze!

Rok 1946-ty przyniósł nam w miłym podarunku powrót do pięknej tradycji przyznawania nagród literackich.

Mają już swoich laureatów co największe miasta i ośrodki w Polsce: Warszawa, Łódź, Kraków, Poznań... — nie ma jeszcze nagrody śląskiej.

Przebąkiwało się coś o tym i tutaj. Mówiło się o 22-gim lipca. Wymieniało się nazwiska kandydatów. Termin minął i ciągle dziwna na ten temat panuje cisza.

Nie znalazł się godny? Nie było pieniędzy na ten cel? Trzeba jakoś ratować sytuację, bo co jak co, ale Śląska nagroda literacka bardzo, wydaje mi się, jest potrzebna.

Oczywiście, że czynniki zainteresowane wcześniej czy później, pod takim czy innym naciskiem dotrzymają obietnicy i coś tam komuś ciepłą rączką wsuną. Wszystkie jednak nagrody urzędowe mają jeden mankament: są urzędowe.

A tu na Śląsku przydałaby się oprócz takiej nagrody (wyraźnie podkreślam słowo: „oprócz”) jeszcze inna, bardziej powiedzmy szeroka, będąca wyrazem opinii liczniejszej grupy ludzi.

Krótko mówiąc, proponuję utworzenie Dorocznej Nagrody Literackiej Czytelników „Odry”.

Podjęcie inicjatywy daje mi pewne uprawnienia. Wykorzystam je tylko w jednym kierunku, zdaje się najważniejszym, wpłacając na proponowaną nagrodę 1.000,— zł. Sądzę, że suma ta rozrośnie się jak na drożdżach.

Inne sprawy jak regulamin, warunki, terminy itp. pozostawiam całkowicie do uznania Redakcji.

W rocznicę ukazania się pierwszego numeru „Odry” zechce Pan, Panie Redaktorze, przyjąć serdeczne wyrazy uznania za dotychczasowe rezultaty pracy i życzenia pomyślnej przyszłości pisma.

Mieczysław Markowski.

Redakcja z satysfakcją podejmuje inicjatywę p. Mieczysława Markowskiego, dziękując równocześnie za pierwszą składkę.

Dnia 31 lipca na posiedzeniu Komitetu Redakcyjnego „Odry”, na które zaproszono Inicjatora nagrody, ustalono wstępne wytyczne określające charakter i regulamin nagrody.

I. Nagroda nosi nazwę „Nagroda Literacka Czytelników „Odry”.

II. Nagroda przyznawana będzie za pracę o charakterze literackim, opublikowaną drukiem, lub wystawioną na scenie po 27 stycznia 1945 r., a związaną tematycznie z problematyką Wielkiego Śląska, Ziemi Lubuskiej, Pomorza Zachodniego, oraz odzyskanych Ziemi Warmińsko-Mazurskich.

III. Nagroda będzie przyznawana co rocznie w dniu 27 stycznia. Po raz pierwszy — 27 stycznia 1947 r.

Ustalono dzień 27 stycznia jako dzień przyznawania nagrody z tego względu, że jest to dzień wyzwolenia Katowic, jako pierwszego większego ośrodka na Ziemiach Zachodnich spod okupacji niemieckiej.

IV. Skład jury pierwszej nagrody ogłoszony zostanie 1 listopada 1946 roku.

Zwracamy się tą drogą do wszystkich Przyjaciół i Czytelników „Odry”, oraz instytucji zainteresowanych w rozwoju kulturalnym Ziemi Odzyskanych o poparcie akcji przez nadsyłanie składek na fundusz nagrody.

Składki prosimy kierować na konto czekowe P. K. O. Katowice III - 4960, z dopiskiem „Nagroda Literacka „Odry”.

Pokwitowanie odbioru zamieszczać będziemy w specjalnej rubryce.

1) Dr. Feliks Widy-Wirski „POLSKA I REWOLUCJA”, Poznań 1945. Nakładem spółdzielni wydawn. „Zryw”, str. 368.

2) Zygmunt Felczak „DROGA WIELKIEJ ODNOWY”, Bydgoszcz 1946. Nakładem spółdz. wydawn. „Zryw” str. 111.

Stachniuk upatrywał przyczyn polskiej bierności w katolicyzmie. Felczak wywodzi o „sklerozie ustroju feodalnego“ (str. 37). Jak jednak sprawa ta przedstawia się w istocie?

Rzeczywiście można mówić o zapóźnieniu cywilizacyjnym i ustrojowym, jakie wytworzyło się między nami a Zachodem w ciągu lat rozbiorów i niewoli. Przedtem, dawniej — trudno nas specjalnie, jeżeli chodzi o poziom i kulturę życia, in minus, odróżnić od reszty Europy. Pod względem ustroju — mieliśmy nawet czas jakiś pewien awantaż. Awantaże jednak w dziejach mszczą się często niemniej srożej od zapóźnień. Rolę zasadniczą dla czasów współczesnych odegrały tedy dwa wieki ostatnie. Na przestrzeni tych długich lat pogłębiała się stale różnica między nami a Zachodem. Nie przeszliśmy z nim razem epoki pełnego i rzeczywistego kapitalizmu polskiego. Z jednego боку byliśmy przyczepieni do zacofanej gospodarczo Rosji Carskiej, z innych — przywalił nam ten proces jako spychane i upośledzone mniejszości w wrogich

nam organizmach państwowych. Niewątpliwie na polu narodowej gospodarki, narodowej polityki, narodowej kultury (w sensie popularyzacji nauki, a nie twórców i twórczości) — jesteśmy jeszcze ciągle w stadium silnego kryzysu. Przyczyna jednak nie leży, jak chce „Zadruga“ czy „Zryw“ w biernej, kontemplacyjnej postawie narodu, ale w przedwczesnym wyczerpywaniu się każdego polskiego pokolenia w walce zbrojnej o wolność. Każde pokolenie podejmuje tę walkę u progu swego życia. Każde ją przegrywało, dzięki okolicznościom w pierwszym rządzie zewnętrzno-politycznym i militarnym, w dalszych dopiero przez czynniki wewnętrzno-ustrojowe. Charakter natomiast naszego narodu zmuszał nas wprowadzić do podjęcia walki, ale nie on decydował o klęskach czy sukcesach. I wobec tego każde pokolenie, jako reakcja, za nadmiar czynów i nadmiar klęsk, jest wykołone, rozproszone, niedouczone — zlamane. Nie w jakowejś bierności i nie w katolicyzmie — ale w nieustannych klęskach walk wolnościowych i nieustannym

braku własnej, wolnej państwowości, leży istotna i jedyna przyczyna wykołonecia gospodarczego i ustrojowego w ciągu ostatnich dwóch setek lat Człowiek zamknięty w więzieniu degeneruje się wobec braku możliwości wypełnienia swych zadań życiowych, do jakich został stworzony. Tak i naród.

I jakiegokolwiek oskarżenie formułowałibyśmy pod adresem rządów przedmających czy sanacyjnych, które też należy traktować jako patologiczne reakcje wywołone z półtora wiekowej niewoli narodu. — to jednak z całą stanowczością musimy stwierdzić, że naród nasz prędko odradzał się i wcale nie błahymi osiągnięciami gospodarczymi usiłował nadrobić swe tyloletnie zaniedbanie. Wielkie Demokracje Zachodu aż czterech lat potrzebowały, przy pełnej mobilizacji swych niezmiernych zasobów materialnych i surowcowych, by wyrównać sześćdziesiąt lat „fory“ Hitlera. A iluż lat potrzebowałaby Polska, by wyrównać stu pięćdziesięcioletnie spóźnienie i różnicę 50 milionów ludności (biorąc pod uwagę Niemcy)??!

Wreszcie — nasza postawa wobec Niemców. Ta polityczna i ta gospodarcza. Czy wolno mówić tu o postawie vegetacyjnej? Warszawa w roku 1943 była najmniej chyba wegetującym miastem niemieckiej Europy.

Być może, iż nasza energia życiowa wynajduje sobie nie koniecznie rozsądne formy uzewnętrznienia się, realizowania, ale — jak się rzekło, żaden z autorów nie żąda od nas rozsądku! Tylko czynów!

I to jest właśnie mylna ocena Narodu Polskiego dokonana przez „Zryw“. Wydaje się, iż bierze swój początek w niechęci, jaką ideolodzy „Zrywu“ żywią przeciwko formom, w jakich przejawia się energia i żywotność większości Polaków.

I tu trafiamy na niebezpieczeństwo, jakie wyczuwamy w ideologii „Zrywu“.

Reasumując: nic w obu książkach nie ma ani nowego, ani samodzielnego. Jest to sfastrygowanie starych banałów grubą nicią sztucznego i nieprawdziwego języka.

Stanisław Helsztyński

Powieść z czasów Chrobrego

Trzeba było kilku studiów o związkach Polski ze Skandynawią, obudzenia czujności społeczeństwa polskiego dla spraw zachodnich w okresie przed r. 1939, zainteresowania północno-zachodnimi ziemiami polskimi w czasie wojny podczas prac konspiracyjnych, a przede wszystkim wielkiego zwycięstwa r. 1945 nad Niemcami, odepchniętymi poza Odrę, żeby powstać mogły dzieła w rodzaju Karola Bunscha „Dzikowy skarb“, a zwłaszcza Władysława Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu“.

Jak wielka jest ta przemiana w świadomości ogółu polskiego, starczy stwierdzić, że tak jak 70 lat temu wiek XVII, Kozaczyzna, Dzikie stepy, Ukraina, trzymały w napięciu uwagę miliona polskich serc, przeżywających wizję Sienkiewicza, tak dziś z zupełną naturalnością i łatwością umysł Narodu przenosi się w wiek X, w czasy Chrobrego, i na tereny tak nam dzisiaj bliskie, własne, lub sąsiednie, jak wyspa Wołyn, Rugia, Dania, Szwecja.

Nie dziwi nas łatwość, z jaką autor przeniósł się o 9 wieków wstecz, i z jaką porusza się po zamierzchłej scenie. Kołobrzeg, wybrzeża Bałtyku, Wołyn-Jomsborg, ujście Odry, szlak biskupa Wojciecha, idącego do Prus, wyprawy do Skandynawii, to dziś obszary, związane z nami tysiącami wzmiankami prasy codziennej. To obszary, które po tysiuletnim oddaleniu przybliżyły się do nas i po których z radością bliździemy nie tylko myśl, lecz i realnymi kontaktami. Wskazówka zegara na tej wielkiej tarczy dziejowej jest dla nas i dla autora tajemnicza, niezwykle, fascynująca; wielka historyczna postać, za mało dotąd uświadomiana sobie przez nas: Świętosława, ciotka Mieszka I, siostra Chrobrego, dorównująca mu geniuszem politycznym i temperamentem, znana w dziejach jako Sigryda Sorrada, wyniosła, w sagach skandynawskich uwieczniona jako Geire, Astryda, Brunhilda.

Ta żona Eryka Zwycięskiego, króla Szwedów, matka Olafa Skottkonunga, później żona władcy Danii, Swena Widłobrodego, przez niego matka Kanuta Wielkiego, króla Danii i Anglii, to chyba najciekawsza z żeńskich latorośli niezwykłego rodu dynastii piastowskich. Legendy skandynawskie przedstawiają ją jako wielką w sprawach polityki, ale i miłości. Nie darmo wszak opowiadają, jak dwóch zbyt natarczywych zalotników przebiła włócznią. U Grabskiego rys ten znalazł uwiecznienie w uśmierceniu dwóch konungów, wdzierających się do sypialni królowej, groźnych zresztą pretendentów do korony szwedzkiej, zaprzeczanej przez nich synowi jej, młodemu Olafowi.

A oto scena z Sigrydą, która będąc młodą wdową, ufną w swój kobiecy czar, nie pomija żadnej okazji, żeby olśniewać swoją urodą Olafa Trygvasona, króla Norwegii, którego w końcu porzuciła dla Swena duńskiego, nie chcąc utracić Szwecji na rzecz Norwegii. Rzecz dzieje

się w czasie podróży: „Gwarząc oni nie spostrzegli, gdy konie doprowadziły ich nad rzekę w miejscu, gdzie czysta woda, rozlewając się na równinie, utworzyła szeroki staw, obrośnięty po brzegach bujnym sitowiem. Opodal pod olszyną stał Dzik przy 3 rozsiódnianych koniach. Srokacz past się osobno na łące. Rozglądali się po ślicznym otoczeniu, gdy ich uwagę zaciepił nagle dźwięczny śmiech królowej. Nie widzieli, gdzie była. Plusk wody, a z nim nowy wybuch śmiechu skierował ich spojrzenia na staw. Rozchylając zasłone szywnych trzciny, Sigryda wychyliła się zza wodnej zieleni, i brodząc po płytkiej wodzie szła ku nim. Głowę i ramiona oplecione miała pasmami rudych włosów, przy których gładkie jej ciało lśniło się istic mleczną białością. Piękna była jak wodnica-czarodziejka z pogańskich bajek. Wzniosłszy ramiona, parszając, otarła ściekającą z czoła do ust wodę i zawołała wesoło: Nareszcie przyczłapałicie! Żywo, chodź do mnie, Helgo! Nie wstydz się zimnej wody. Czas już, by twój narzeczony obaczył, że nic ci nie brak do zamezcia! W trzcinach znów zabulgotało. To Olaf wyskoczył z nich i płynął ku królowej. Sigryda odwróciła się i skacząc, śpieszyła na głębinę. Nim ją dopadł, śmignęła głową wdół i tylko biała smuga pod powierzchnią wskazywała, gdzie nurkuje.“

„Helga sama zeskoczyła z siodła. Gdy Bronisz stanął przy niej, spojrzała mu w oczy i rzekła z ujmującą szczerością: — Gdybyś chciał, zawsze możesz mnie obejrzeć, bo przecież należę do ciebie. Ale on — głową wskazała na pluskającą się Olafa — nie chce, by igrał ze mną, gdy jestem bez szat. Skinieniem głowy podziękował jej za to. Helga podeszła do brzegu i odkrzyknęła królowej, że woli zostać na łące z Broniszem, a dla czego, to potem jej wytłumaczy, by mężczyźni jej nie słyszeli.“

Nudystyczne, tepe popisy trąca, być może, wyobrażeniami nowoczesnymi, chociaż, kto wie, może nie źle trafiają w epokę Tristana i Izoldy, a już na pewno oddają bezpośredniość i naturalność ludzi średniowiecza, Hieratyczna figura rzeźby średniowiecznej, żywoty świętych i legendy, nie mogą zastąpić nam widoku na gorący nurt życia, bijący w wieku X równie intensywnie, jak w każdym innym.

Właśnie długie rozprawy o słodyczy cnót chrześcijańskich w ustach biskupa Wojciecha mało harmonizują ze spiżową postacią słuchacza, Jarla Bronisza. Ma on coś z wójów Beowulfa, coś z wikingów. Jego przeprawy przez morze, podziw i zainteresowanie dla statków i żegluga, trafiają dobrze w ton epoki piastowskiej, związanej mocno z wodami Bałtyku i brzegami Skandynawii. Żeglarza Wulfstana opowieść o kraju Vindlandii nasuwa się na myśl, gdy się widzi Jarla Bronisza.

„Śladem Wikingów“ będzie nazywać się część druga Sagii, zapowiedziana przez autora. Śledzić w niej będziemy dalsze losy Bronisza i Helgi, która zostawszy w mocy Olafa Trygvasona w Norwegii,

skupi zapewne na sobie wysiłki Jarla, pragnącego wyrwać ją z rąk przeciwnika.

Wobec zapowiedzianej i trzeciej części, istnieje obawa, że malowidło będzie rzucone zbyt pospiesznie na kanwę i że w szczegółach, w epizodach, na planach drugo- i trzeciorzędnych będzie miało niedociągnięcia, których nie brak i w części pierwszej. Ma się wrażenie, że opowiadanie nie było czełowane dość starannie. Autora porywa wizja, treść, obraz. Realizując je, zaniedbuje ich zewnętrzny wyraz. Coprawda, ten właśnie duch jest najważniejszy. On stanowi największy urok tej niezwykle u nas nowej zupełnie lektury. Z książką Grabskiego wstąpiliśmy na nowe strumienie, na nowe obszary, w nową epokę, dobrnęliśmy do warstw dziewiczych, z których wypływają kultura i dzieje Polski, Polski zachodniej, piastowskiej, zgrzebnej, podobnej aspiracjami do nastrojów dzisiaj znowu żywych.

Jeśli idzie o malarski równoważnik panoramy historycznej, roztoczonej przed nami przez Grabskiego, nasuwa się w pamięci fresk Cybisa i Zamoyskiego w gmachu Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie, przedstawiający Bolesława Chrobrego, wbijającego zachodnie słupy graniczne swego państwa. Podobna tu słowiańska, rodzimość i monumentalność. Przypomina się i Stryjeńska ze swymi motywami mitologiczno-słowiańskimi. A jeszcze bardziej wyczyny prehistoryków i wczesnodziejowców, wykopaliska wczesnohistoryczne Poznania, Gniezna, Opola, Sanoka, Wołynia. Wysiłki malarzy, archeologów, badaczy, ożywił i nowego w nie tchnął ducha, obdarzony wyobraźnią i gorącym sercem pisarz, być może nowy nasz Sienkiewicz, twórca nowej trylogii, tym razem osnutej dokoła Jarla Bronisza z X wieku.

Ta nieprzeciętna kobieta, snująca nici posunięć dyplomatycznych pomiędzy Uppsalą, Jomsborgiem, Zelandią Duńską i dworem w Poznaniu, stanowi centralną figurę w opowiadaniu, które zaciekawia od początku i trzyma uwagę czytelnika w napięciu do końca tomu. W jej imieniu i z mocy jej brata, Bolesława, działa Jarl Bronisz, krewniak Piastów, wojownik, siłacz, przemożny mężem i krzepą fizyczną, ale i duchem, jeden z tych, co utrwalali wpływ i potęgę Piastów nad Odrą i Wisłą, jak i w Skandynawii.

Wszystkie jego poczynania wieńczy powodzenie. Czy to, kiedy na samym początku widzimy go w warownym grodzie Jomsborgu na wyspie Wołyniu, gdzie zręcznym pociągnięciem i przytomnością umysłu umie unicestwić podstęp Olafa Trygvasona, królewicza duńskiego, dążącego do zdobycia Szwecji i uzyskania ręki wdowy, Sigrydy, z pominięciem praw jej młodocianego syna, Olafa szwedzkiego. Czy kiedy później potrafi zjednoczyć przy osobie Sigrydy wszystkie siły Piastom życiwe, doprowadzić do zgodnego działania po stronie Chrobrego wojsk Danii, Rugii i Szwecji.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że tych 60 do 70 lat, licząc od 963, to okres naj-

wiejszego, jakiegoś wprost dynamicznego rozmachu, działającego na korzyść państwa Polan. To prawdziwie bohaterski okres naszych dziejów, wyrastający nie tylko z pomyślnej konjunktury, ale i z wielkich, zdecydowanych charakterów, wających się na wszystko dla osiągnięcia wielkich celów: opanowania brzegów morskich, ujęcie Odry i najbliższych słowiańskich wysp w rozgrzywe, przeważnie zresztą przyjaznej, z władcami skandynawskimi.

Nie można odmówić Grabskiemu wizji i plastyki w kształtowaniu materiału dziejowego. Jego Sigryda, jego Chrobry, Bronisz, biskup Wojciech, biskup Reinberg, Olaf Trygvasson, Sigvaldi, Jarl z Jomsborgu, Helga, córka Jarunda z Norwegii, to postaci trójwymiarowe, widzialne i dotykane, z żywymi rumieńcami życia na policzkach, ze słowami, które drgają uczuciem i prawdą. Prostota i pierwotność odczuwania tych ludzi zgodna jest z poziomem kultury ich czasów.

Największym osiągnięciem jest właśnie to wczucie się w środowisko, w te czyny i uczty bojowników, zebrania i przyjęcia na dworze, czy w Jomsborgu, czy w Uppsalii, czy w Poznaniu. Szczególnie dwór Bolesława w Poznaniu, odarty z przesadnego wielosłownia Galla Anonima, przemawia swoim umiarkowanym realizmem, łatwym do przyjęcia i strawnym dla ludzi, przyzwyczajonych do przebiegania dziejowych dystansów, czego nauczyły nas ostatnie wypadki, wiążące się swymi korzeniami z epokami bardzo odległymi.

Oto obraz Burisłafa-Bolesława i biskupa Wojciecha: „Gdyby kto nie znał władcy polskiego, w tym mezu pysnie przyodzianym, ławo dopatrywały się słynnego u Normanów konunga Burisłafa, pełnowłosego olbrzyma o bystrych oczach, wielkim orlim nosie i bujnych wąsiskach, okalających pożądlive wargi. Biła od niego krzepkość wspaniała i męska swoboda. Ruchy miał zamaszyste, pewne siebie, śmiech gromki, mowę łatwa i przystępna. Kto nie widział jego oblicza, skązonego gniewem, chętnie poddawał się ujmującej prostocie jego obyczajów. Ci zaś, którzy poznali go, jak umie myśleć w powadze, jak pamięta, co trzeba, jak przewiduje przyszłość, tym bardziej mu ufali, że nigdy nie zawiedzie i nie opuści tych, co mu wiernie służą. Biskup Wojciech, chociaż nie wiele niższy od Bolesława, taki był chudy, że całą swą postać nie dorównywał połowie jego ciała. Na ramionach niósł płaszcz arcybiskupi, jedyną okazałość stroju, okrywającą grubą z bezbarwnej wełny utkaną suknię benedyktyńska; na głowie zamiast zwykłego katura, biały szeroki kapelus. Ruchy miał powolne, jakby powściągane rozmyślenie, głos równy o głębokim brzmieniu, usta rzadko skłonne do uśmiechu. Smągła twarz ogolona do gładkiej skóry, wyniszczona postami, wyglądała starzej, niż na 40 lat. Ale oczy Wojciecha nie miały znamienia wieku.“

*) Władysław Jan Grabski: Saga o Jarlu Broniszu. Część I: Zręgowiny w Upsali. Nakładem drukarni św. Wojciecha. Poznań. Stron 343.

Glossy i notatki

Co robią Niemcy

CZYTAMY PRASĘ

Kiedy wśród stołu gazet i czasopism, broszur, jednolitości i biuletynów, stoju jakimi powstają codziennie na naszym biurku redakcyjnym, wyławiamy rzeczy nas interesujące, odrzucając makulaturę do kosza (niestety bardzo wiele pism i publikacji już w chwili urodzenia stanowią makulaturę) — ogarnia nas zawsze radość na widok szczególnie ulubionych pism i periodyków. Możemy śmiało rzec, że do tych ostatnich zaliczamy wytrawną zewnętrzną i niejako „uropejską” wewnątrz, tj. treściowo „Przegląd Zachodni”, publicystyczny organ naukowo-badawczego Instytutu Zachodniego w Poznaniu. Poziomym artykułom i kulturą dyskusji gorąco nad innymi miesięcznikami, a jest pierwszym niewątpliwie w porządku wszystkich czasopism tzw. zachodnich. Ostatni numer (nr 6 z czerwca) „Przeglądu Zachodniego” warto przeczytać, choćby tylko dlatego, by dowiedzieć się m. in. o bilansie walki narodowościowej, prowadzonej przez Greisera w tzw. Warthelandzie, o czym pisze Stanisław Waszak, by w świetnym publicystycznym gospodarzynie Juliuszem Kollipiskim gruntownie zanalizować „Rolę Ziemi Odzyskanych w organizmie gospodarczym Polski”, by wreszcie z Józefem Jakóbczykiem przedyskutować ważne zagadnienie „Redukcji narodu niemieckiego”. Najlepszą formą redakcyjną, powiada autor, jest... „pozostawienie niemieckiej ludności w swoim biologicznym, by... demografii swego narodu tworzyli oddatki już tylko własnym biologicznym wysiłkiem, bez ustawicznego czerpania odżywczych sił rozródowych w biologicznym rezerwuarze słowiańskim. Czerdziesiętomilionowy naród, pozostawiony własnym rozródowym siłom biologicznym szczyplim i topniejącym, nie będzie stanowił zbyt wielkiej siły, z którą by nie mogła uporać się sama Europa na drodze pokojowej. I to byłoby nie tylko skuteczny i sprawiedliwy sposób rozwiązania problemu niemieckiego w Europie, ale ponadto znacznie łatwiejszy do wykonania niż inne projekty redukcji ardu niemieckiego, wymagające przeobrażenia bądź co bądź rdzennego charakteru niemieckiego, co jest zadaniem niesłychanie trudnym”.

Z satysfakcją notujemy coraz częściej ogłaszane protesty przeciwko przykrym oczekujacym publicznym wykonywaniu na zbrodniarzach wojennych. Jest rzeczą wysoce niemoralną dopuszczanie tłumów (wśród tego i młodzieży) na takie widowiska. Warto przypomnieć, że pierwszy odważny głos w tej sprawie zabrał „Tygodnik Powszechny”; później sprawę podjął, godząc się w zupełności z katolickim punktem widzenia pisarz-marksista Jan Kott w „Przebiegu”. Widocznie jednak nie sobie nie robią z tymi walkami opinii redaktorzy niektórych dzienników, skoro po straceniu Artura Greisera pominieli na pierwszych stronach ogółu wszelkie repertaria z ostatnich chwil zbrodniarza, odjął jak to ka zakłada strzykaczkę jak Greiser wiści, jak lekarz stwierdza zgon itp. Zależy, nie jest to nam potrzebne, i nie stanowi to u naszem porządku cywilizacyjnym i moralnym.

Nasza nienawiść do Niemców wyładowuje się często w głupiej formie. Wypowiadamy tę uwagę na marginesie ankiety i dyskusji. Jaką przeprowadza poznane „Kurier Wielkopolski”, domagający się zbiorzenia zamku Wilhelma w Poznaniu. Zamek, stanowiący olbrzymi kompleks budowli był przed wrześniem 29 roku siedzibą różnych seminariów i instytucji uniwersyteckich. Działają w chwili ogromnego braku pomieszczeń dla wielu instytucji i urzędów znaleźli się nieopieczalni ludzie, często szowinistyczni gorliwi z tytułami doktorów, inżynierów a nawet z preusjami do miana pisarzy, którzy powiadają: zburzyć zamek. Na szczęście w dyskusji znajdowały się głosy trzeźwe i rozsądne, wskazujące m. in. na milionowe koszty, związane z ewentualną rozbiorą i burzeniem budowli. Zaś prof. dr K. Owocziński, krapnął bez ogródki — za co mu chwala — „kiedy ktoś pragnie rozbierać Zamek niechaj się najpierw sam rozbiere — a ja mu wymierzę 25 bykowcem”.

Tygodnik morski „Szczecin”, którego narodzenie sygnalizowaliśmy kilka tygodni temu rozwija się stopniowo w poważny organ polskiego wybrzeża. Wykształcił też „Szczecin” swój charakter, stając się piśmie raczej gospodarczym, choć nie zaniedbywającym innych dziedzin życia wybrzeża i morza, włącznie z kulturą duchową mieszkańców odzyskanego Pomorza. W nrze 7 — 8 „Szczecina” spotykamy m. in. artykuł Roman Zychyńska systematyzujący przeżyte „Zagadnienia polskiego wybrzeża” i zwracający uwagę na szereg najpilniejszych potrzeb, rysujących się wyraz-

nie na tle prac odbudowy handlu i przemysłu morskiego w Polsce. Kwestia ożywienia życia gospodarczego na wybrzeżu winna być traktowana pierwszoplanowo nie tylko w propagandowych przemówieniach w czasie „Święta morza”. Na wybrzeżu, powiada Zychyński, nie posiadamy jeszcze ani należytej liczby fachowców, ani taboru rybackiego, ani wędzarni, fabryk maki rybnej, fabryk konserw, przemysłu zaopatrzenia statków, opakowań, reparacji itp. „Z przyczyn, których usunięcie przekracza dziś jeszcze możliwości mieszkańców wybrzeża te dziedziny gospodarcze dalekie są jeszcze od normalnych rozmiarów rozwojowych”.

W ostatnim czasie spotkały „Odrę” różnego rodzaju zarzuty i ataki. Nie chodzi nam o drobiazgi (takie jak np. rzekome pisanie przez „Odrę” rzeczownika własnego Niemcy małą literą — jest to niezgodne z prawdą, bo własnie Niemcy i Niemiec piszemy w myśl zasad ortografii literą dużą), ale o ataki poważniejsze. Właścicie w można raczej powiedzieć „niepoważne”, gdyby się nie ukazywały w bądź co bądź czołowym organie kulturalnym Krakowa — „Odrodzeniu”. Redaktorze „Odrodzenia”, Jan Aleksander Szczepański, który robi u Was „przegląd prasy”, jest człowiekiem kłóliwym i nieuważnym. Kiedy swego czasu mówiliśmy o stosunku pism stołecznych do zagadnień Ziemi Odzyskanych i wspomnieliśmy w związku z tym o „Gazecie Ludowej” — krzyczy Szczepański bez powodu, żeśmy grzeszni, bo przecież k r a k o w s k i „Dziennik Polski” pisze o sprawach Ziemi Odzyskanych najwięcej. Kiedy drukowaliśmy dobry artykuł Pawła Jasienicy o militarystyce pruskiej, dwójka imion Szczepański oburza się publicznie na treściowe „zryżaki” Jasienicy; nie dyskutując rzeczowo z wysuniętymi tezami zda się wyrzucać „Odrę” sam fakt drukowania Jasienicy, imputując mu w dodatku jakies ukryte tendencje, których, dalibóg, nie możemy się w artykule dopatrzeć. Wydaje się, że Jan Aleksander Szczepański nie jest chyba dobrym współpracownikiem „Odrodzenia”, skoro jest takim krzykliwym kłótnikiem.

A poza tym, wiecie, pewien uczeń lat 18 w „Młodej Rzeczypospolitej” mawia nam modne wstecznictwo i bodaj jeszcze faszyzm. Zby...

Krótkie spiecia

W nrze 30-tym łódzkich „Szpilek” Marian Podkowiński, który jest korespondentem pism polskich z terenu Niemiec okupowanych, wybrał do działu „humor zagraniczny” kilka najnowszych ilustrowanych dowcipów niemieckich. Z krótkiego poważnie potraktowanego wstępu dowiadujemy się, że rysunki wyjęte są z „Ulenspiegel”, berlińskiego dwutygodnika satyrycznego. Niestety ze wstępu dowiadujemy się poza tym nieprawdy o współpracownikach z „Ulenspiegel”, nieprawdy która łąco pomaga Niemcom w budowaniu legendy o swym czasie wojny cierpiętnictwie dla ideałów demokratycznych, legendy budowanej mozolnie w kraju i wobec zagranicy. P. Podkowiński uwierzył tej legendzie i łatwowiernie powtórzył jej brednie a „Szpilki” z kolei uwierzył p. Podkowińskiemu, rozpowszeczniając jego, nieświadome być może zresztą, proniemieckie brednie wśród swoich z górą stu tysięcy czytelników. Nie można tego nazwać łagodnie. Bo posłuchajmy:

Pisze p. Podkowiński: „Ludzie ci albo przebywali na emigracji, bądź też wiele lat cierpieli w obozach, cudem prawie uszedzsy z życiem.” I wymienia tu jako redaktora m. in. poetę Günthera Weisendorna (a nie Weisenborna, jak mylnie czytamy w „Szpilekach”) oraz E. Kaestnera, Berta Brechta, Schaefer-Asta, Ilzę Langnera, T. T. Heinego, Herberta Thiele, Hermann Hesse, Th. Plievera, Fr. Wolfa i Augusta Scholtisa. „Wszystko dawni ludzie ze „Simpla”, „Querschnittu” czy „Uhu” — dodaje p. Podkowiński.

Co za dużo to niezdrowo. Weisendorn nie mógł być znowu tak przesładowany, skoro przyjęty został do niemieckiej Reichsschriftumskammer, do której jak wiadomo wciągano pisarzy albo zasłużonych dłu ruchu narodowo-socjalistycznego albo też co najmniej nie budzących żadnej wątpliwości co do swych sympatii dla tego ruchu. Nazwisko jego znajduje się w urzędowym spisie zorganizowanych pisarzy niemieckich, wydanym na rok 1942. W jego berlińskim mieszkaniu przy Bayreuthstrasse 10 widywano przed i podczas wojny wybitnych przywódców hitlerowskich, był tu także Hans Fr. Blunck, prezes Izby Pisarzy i zaciekły hitlerowiec. Późniejsze tragiczniejsze losy Weisendorna nie są bynajmniej związane z planami zabicia Hitlera, co również lekkomyślnie powtarza p. Podkowiński, lecz do wzięcia i obozu poszedł Weisendorn za wykroczenia przeciwko niemieckiemu systemowi aprowizacyjnemu. Może sobie to Weisendorn dziś określać jako sabotaż, może nawet uważać to za udział w spisku na życie Hitlera — my jednak na litość Boską nie powtarzajmy tych wybielających go kłamstw.

O innych da się mniej więcej to samo powiedzieć. Hermann Hesse, uważanego

W dyskusji nad przyszłym obliczem politycznym Niemiec nieśmiało i coraz rzadziej wysuwane bywają projekty robienia Niemiec na wiele drobnych państw. Lokalny patriotyzm Niemców często ich przywołuje do separatyzmu, — dziś przejawia się z większą siłą. Niestety, za mało się popiera owe separatystyczne zapędy, likwidujące przecież niebezpieczeństwa jakie przynieść mogą światu nowe zjednoczone i zwarce polityczne Niemcy. Prasa niemiecka natomiast gorliwie pilnuje zasady nierozdzielności „poszczególnych krajów niemieckich i w ostro sposób atakuje wszelkie próby separatystyczne. Ostatnio z jakim wystąpiła m. in. „Berliner Zeitung”, nr 137, w artykule „Die Vaterlaender — Ojczyzny”.

„Z gorzkimi uczuciami obserwujemy wysiłki — pisze „Berliner Zeitung” — zmierzające do podzielenia, do pokawakowania tego, co nam jeszcze z naszej ojczyzny pozostało, Pan Roegner z Bawarii zwalcza Berlin a tym samym niemiecką ideę jedności. On sam wreszcie przeżywa swąską opozycję przeciwko „bajuwar-skim centralizmowi” skierowaną na utworzenie nowego związkowego państwa Szwabii ze stolicą w Angsburgu. Nadburmistrz Frankfurta pragnie uczynić swoje miasto stolicą Niemiec. Oldenburski rząd krajowy w swym niedawnym memoriale anektuje odczoło obszary hannowerskie. W odpowiedzi na to „Lueneburger Landeszeitung” wygrzebuje projekty o państwie dolno-saksońskim, które skutecznie mogło by poiknąć Oldenburg. Istnieją w Dolnej Saksonii grupki, które domagają się statutu dominalnego. Specjalne zadania wysuwa się dla okręgu Saary, Nadrenji i ostatnio dla południowego Szleswiku”.

Tak pisze o tym gazeta berlińska, starając się ośmieszyć wszystkie te poczynania, albo też, co w końcu czyni, podcina je pod pojęcie zwykłej zdrady narodowej. Gazeta nawołuje w końcu do jak najrychlejszego urzeczywistnienia planu Niemiec jednolitych, niepodzielnych i zwartych. Jak bardzo to wszystko przypomina czas przed dojściem do władzy Hitlera. Wówczas w wyszydzeniu separatystów najgorliwsi udział brał satyryczny tygodnik hitlerowski „Die Zeitlupe”. Podobnie jak wówczas, ogłasza dziś prasa

niemiecka mapki historyczne Niemiec z rozmaitych okresów, które odstraszać mają wszystkich patriotów niemieckich od popierania tendencji separatystycznych.

W tym samym numerze berlińskiego dziennika znajdujemy maleńki felietonik na temat odwagi cywilnej Niemców. W felietonie czytamy prawdziwe uwagi o tchórzostwie Niemców, żyjących wciąż jeszcze pod koczarszym hasłem „Ja nicht aufzufallen — Oby tylko nie wpaść w oko”. Z takiego nastawienia — zdaniem autora — wypływa bierność niemiecka w stosunku do wielu zasadniczych zagadnień życia politycznego czy nawet gospodarczego Niemiec.

Berlin uccia pamięć pierwszego sowieckiego komendanta miasta, nieżyjącego już dziś generała-pułkownika Berzarina. Jego imieniem bowiem nazwano plac Bałtycki i ulicę Petersburską we wschodniej części Berlina. „Jako pierwsze cywilne osoby niemieckie — pisze w wspomnieniu „Berliner Zeitung” Karol Maron, zastępca burmistrza Berlina — odszukani zostali przez Barzarina nieznanzi hitlerowcy lub zbrodniarze wojenni, ale inżynierowie i technicy, później zaś w pierwszym rządzie wszyscy osiągalni znani muzycy i aktorzy”.

Jak widzimy — pojawiają się w Berlinie i rzeczy nowe. Ale jest tak wiele jeszcze rzeczy starych, że gdyby nie ruiny, obce, wojskowe na ulicach mundury i szalejący nocami bandyci i złodzieje, można by powiedzieć, że ten Berlin nie bardzo się zmienił. Oto np. młodzież niemiecka, a szczególnie młodzież berlińska, o którą dba się wyjątkowo czule, obchodziła w tym roku, jak za dawnych hitlerowskich czasów, pogąńskie święto zrównania dnia z nocą (Sonnenwendfeier). Jak w czasach hitlerowskich uczono żywić, o których poganiści poci hitlerowskich Niemiec mówili, że pomagali Germanom w budowaniu swej ziemskiej potęgi. Jak za czasów hitlerowskich bluźniono przeciw chrześcijaństwu. W dziennikach nie tylko berlińskich ukazywały się gorące wspominki z dawnych pragermańskich czasów, przypominały parę mitów starogermańskich, zacytowano kilku poganińskich pisarzy, w pierwszym rzędzie Hoelderlina, na którego przyszła ostatnio w Niemczech szczególna moda. (Hoelderlin nie nie traci na zmianach ustrojowych i na przegranej Niemiec — w czasach hitlerowskich poganiści jego, klasycznie żarliwy patriotyzm i panteizm wielbiony był także co niemiara).

Codzienna kronika sądowna prasy niemieckiej także daje wiele do myślenia o młodzieży niemieckiej. Ustawne procesy rozmaitych Edelweissmaedel, zakonspirowane w ruinach strzelnic ćwiczebne młodocianych bandytów w Berlinie, manifestacje antyradyckie oraz antyalianckie w ogóle studentów niemieckich — wszystko to świadczy, że zadymka hitlerowska nie wywietrzyła jeszcze należycie z głów. Triumfuje znowu szowinizm narodowy, nie uznający kompromisów, kania się lub nawet najwykleszego, prostego przynajmniej do win i największego określenia ich rozmiaru. Zakazana została np. monarchiska „Sueddeutsche Zeitung” za artykuł skierowany przeciwko rządowi Czechosłowackiemu, za brutalne ponos i niezgodne z sumieniem ludzkim przeprowadzone wysiedlenia Niemców z terenu Czechosłowacji. Bezczelność niemiecka nie ma zaiste granic. Właśnie Czechosłowacja sprawiedliwie i konsekwentnie ale humanitarnie i wielkodusznie przeprowadza swoje wysiedlenia. Sensacja dla nas jest usłyszane przy tej okazji oświadczenie pułkownika Bernarda B. MacMahona, szefa kontroli służby informacyjnej władzy wojskowej amerykańskiej. Czytamy w nim: Licencjonowane pisma niemieckie w amerykańskiej strefie okupacyjnej nie podlegają jakiegokolwiek cenzurze, niemniej są one odpowiedzialne za swoją treść”. Oto do czego prowadzi przorsty „demokracji” na terenie Niemiec Niemcy pozwalają sobie na ostrą krytykę sprawliwych pociągów państw sprzymierzonych.

Z prasy amerykańskiej dowiadujemy się, że w Fischbachu, w powiecie jeleniogórskim zmarł wybitny niemiecki historyk literatury i filozof, tajny radca prof. Eugen Kuehnemann. Kuehnemann poświęcił się szczególnie badaniom nad Kantym, Schillerem i Goethem, ponad to pracował nad Turgieniowem, Tolstojem i Gerhardem Hauptmannem. Prasa amerykańska przypomina przy tej okazji, że zmarły był profesorem na uniwersytecie Harvarda w Cambridge oraz na uniwersytecie państwowym w Wisconsin. — Dla nas jest tylko rzeczą dziwną i niepokojącą, że o pobycie niemieckich intelektualistów, pisarzy, artystów i uczonych na polskich Ziemiach Odzyskanych dowiadujemy się albo z prasy zagranicznej albo też po niewczasie. Tak było np. ostatnio, kiedy komunikat PAP-u podał, że rząd polski udzielił zezwolenia na wyjazd do Niemiec większej grupie niemieckich pisarzy i artystów, w celu wzięcia udziału w pogrzebie Hauptmanna. Tyle powędziła notatka prasowa i ze zdumieniem musieliśmy przyjąć do wiadomości, że na Ziemiach Odzyskanych przebywa jeszcze większa grupa uczonych i artystów niemieckich, a więc uświadomionych i zaciekłych patriotów niemieckich, związanych przeważnie najgorliwiej z ustrojem hitlerowskim. Dlaczego o tym wszystkim prasa polska i polski świat naukowy i artystyczny dowiadują się dopiero z okazji śmierci jednego z tych niebezpiecznych Niemców na naszych zachodnich ziemiach? Dlaczego w ogóle toleruje się ich pobyt na tym terenie? Ostatnio najzupełniej słusznie pisał o tym problemie Jan Dobraczyński na łamach warszawskiego „Dziś i Jutro”.

Z drobnych notatek z życia kulturalnego w Niemczech mamy do zanotowania m. in. powstanie w Schafhausen międzynarodowego towarzystwa Bacha, którego postawiło sobie za cel organizowanie bachowskich festiwalów i wydawanie jego dzieł, dalej ustanowienie nowej katedry teatologii na uniwersytecie w Halle-Wittenberg (jest to już piąta z kolei katedra teatologii w Niemczech wobec jednej polskiej w Toruniu, nota bene niezycznej), powstanie dwóch nowych stacji radiowych, a to w amerykańskiej strefie okupacyjnej Berlina i w Poczdamie (fala średnia 531,9 m).

Chwila odprężenia: Werner Bergengruen w zuryjskim czasopiśmie „Die Weltwoche” stworzył doskonałą syntetyczną formułę dla ostatnich stu pięćdziesięciu lat historii Niemiec: Od I. G. Cotta do I. G. Farben. Objasnienie dla niewtajemniczonych w niemieckie symbole gospodarze: I. G. Cotta to nazwa zasłużonej niemieckiej firmy wydawniczej w Stuttgartzie, nakładcy wielu niemieckich i obcojęzycznych dzieł klasycznych; I. G. Farben (Industrie), to nazwa śmiertelniegroznego koncernu fabrycznego, wyrabiającego m. in. gazy trujące, jednego z najwyższych i najcenniejszych ośrodków niemieckiej produkcji wojennej istniejącego po dziś dzień i odbudowującego swe fabryki).

Na zakończenie dwie wiadomości z dziedziny aprowizacji. Amerykanie obiecali podnieść w swojej strefie wartość codziennej racji żywnościowej do 4.000 kalorii (w Polsce przeciętnie 1.700 kalorii), zaś w obozie Langwasser pod Norymbergą, w którym przebywają sami politische Leiter NSDAP, SS-mani i funkcjonariusze SD, racja żywnościowa wynosi 2.500 kalorii dziennie. Oburza się na to „Weserkurier” z dnia 19 czerwca.

Patrzmy na ekran

Obecny repertuar katowickich kinoteatrów jest jak komput — są w nim dobre rzeczy, jest sporo wody i dość niestranych pestek. Ano — co kto woli, Zaczynamy od dobrych. Są to dwa przedwojenne filmy amerykańskie: „Ukochany” (kino „Zorza”), „Ostatnie ostrzeżenie” (kino „Rialto”) i film wojennej produkcji angielskiej: „Nasz okręt” (kino „Casino”). „Ukochany” — wszystkich kobiet świata (po za kilkoma nastoma kobietami w pewnej wiosce w Patagonii, gdzie jeszcze dotąd nie ma kinoteatru) — Charles B. Druyer, nudi się w pierwszej części filmu, maluje w drugiej, by pod koniec zrozumieć wreszcie, że jego prawdziwa miłość to Irena Dunne i tylko ona. Poważnie biorąc — film dobrze zrobiony i pięknie zagrany. Wzruszał, nas, i to na prawdę jeszcze przed wojną a dziś... Dziś — wszyscy jesteśmy starsi od naszych, przedwojennych miłości. I dlatego trzeba się przegladnąć w zwierciadle swego dawnego wzruszenia, trzeba zobaczyć ten film.

„Ostatnie ostrzeżenie” ostrzeżenie nas przed Europejskimi, usiłującymi grać rolę japońskich detektywów. Mr. Moto, w interpretacji Peter Lorre’a, zresztą świetnego aktora (przypominający obraz reżyserji Fritz Langa: „Wampir z Dusseldorfu”) — jest co najmniej nie przekonujący. Dużo też usterek i niedopatrzeń reżyserskich, np. tenże Moto, dzięki znajomości zasad dżiu-dzitsu, pobija na głowę czterech drabów, sam, gołymi rękami, po to, by za chwilę dać się związać, jak baran, wraz ze swym towarzyszem — trzem gentlemanom. Dalej — komendant angielskiego garnizonu w Aleksandrii, nie wiadomo dlaczego wystylizowany jest na niedobitego o ruchach Patachona a wążach Vlasty Buriana. Aż dziw, że nie wywołało to wtedy konfliktu dyplomatycznego między oboma dzisiejszymi sojusznikami. Mimo tych wszystkich braków jednak, akcja toczy się wartko, zasnę pod czas seansu nie można, po prostu — nie dadzą; ciągle padają strzały, wybuchają bomby zegarów i podwodne. Niezależnie od tego uważnych widzów dziwi fakt, że bohaterem amerykańskiego filmu jest... Japończyk, którego rolę gra... Niemiec. A zresztą — może wojny nie było?

„Nasz okręt” jest mocnym filmem angielskim a raczej był by nim, gdyby nie wroga propaganda, t. j. własna propaganda angielska, która obciąża lekkość konstrukcji tego pięknego montażu — kilkuminutowymi „speechami”, mającymi podkreślić wartość marynarza brytyjskiego i jego ukochanego okrętu. Propaganda trudzi się niepotrzebnie. Reżyser, aktorzy i morze — zrobili tak doskonałą robotę, i to właśnie w znaczeniu propagandy, że nie wolno było dodać ani słowa. A tymczasem dodano tych słów bardzo wiele. Ale film jest i tak bardzo dobry. Najmocniejszą jego stroną jest fotografia, technika i reżyser (sceny morskie, bombardowanie — a wszystko przepuszczone przez pryzmat falującej wody). Reżyserowi należy się specjalny ukłon za scenę zawiadomienia wilka morskiego o śmierci jego najbliższych — w momencie tym wzruszenie dawa nam gardło. — Piękny to film. Albo.

Powieści Scholtisa urabiały pogląd przeciwnego Niemca na Polskę i Polaków, na sprawę Górnego Śląska. Kto wie, czy ten osławiony herold niemieckości Śląska i nienawiści przeciwko Polsce nie uprawia tego samego proceduru w konspiracyjnym niemieckim Instytucie Badań dla spraw Śląska, o którym dowiedzieliśmy się n. b. z prasy angielskiej.

Wyplął zatem w Berlinie, gdzie mieszkał już dłuższy czas przed wojną. Jest współpracownikiem „Ulenspiegel”. Uważa się za cierpiętnika i bojownika o demokrację niemiecką. A do diabła z takimi informatorami z Niemiec!

Trudno, „Szpilki” dały się obalamucić, bałamucąc tym samym wiele tysięcy czytelników. Jako czytelnik „Szpilek” proszę o maleńkie sprostowanie. **wisz.**

Redaguje komitet. Red. naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmują Sp. Wyd., „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn., „Czytelnik” Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn., „Czytelnik” R 23063